

W NUMERZE:

CZŁOWIECZA STAROŚĆ ZABYTKÓW

Ireneusz J. Kamiński

Od Hamburga do Monachium

Marek Adam Jaworski

KURZAWCE WOJNA

Tadeusz Jasiński

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Wojenna

LUBLIN 19 X 1975 NR 21 (585)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Nie znalazłam stancji...

Ewa Polak

ZNAWCY mówią, że najlepszy czas na znalezienie stancji to czerwiec, lipiec. Znawcy mają za sobą często wieloletnią praktykę, a adresy dobrych stancji zdobywają od znajomych. Szukanie pokoju zajmuje im najwyżej parę dni. Za to ci, którzy „pierwszy raz”, przeżywają przed rozpoczęciem roku akademickiego paratygodniową niemal gehennę poszukiwań.

Dzwonię do drzwi szarej willi. Otwiera młoda kobieta.

— Stancja? Tak, to tutaj. Ale wszystko zajęte. Ani jednego miejsca. A pani z pierwszego roku, prawda? — I nie czekając na odpowiedź wyjaśnia:



Fot. A. Polakowski

Dokończenie na str. 12—13

KULTURA W NOWYCH GRANICACH

Zarządzenie Nr VI
z dnia 13 września 1975 r.

§ 1. Zobowiązuję naczelników gmin (Prezydenta m. Lublina, naczelników miast oraz miast i gmin) do stwarzania dogodnych warunków dla pracy jednostek resortu kultury działających na terenie województwa lubelskiego (...)

Wojewoda lubelski
mgr Mieczysław Stępień

WLĄSCLWIE umawialiśmy się na wywiad. Mgr Mieczysław Białas już od dwóch miesięcy jest dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, ale ma za sobą także 10 lat kierowania Wydziałem Kultury dawnego PMRN w Lublinie oraz pracę w instancjach wojewódzkich PZPR i ZMS, obejmującą głównie działalność w zakresie kultury. Z wykształcenia jest historykiem, ale z wodem nauczycielskim paralił się tylko pół roku. Zamierzony wywiad przekształcił się jednak w rozmowę i dyskusję, z czego relacja poniżej.

Tak więc województwo lubelskie znacznie się zmniejszyło, ale rola Lublina chyba nie zmalała. Wygląda nawet na to, że wzrosła, gdy stanie się oficjalnym centrum jednego z siedmiu makroregionów kraju. Na dzisiaj też pozostają mu funkcje ponadwojewódzkie. Oba teatry: dramatyczny i lalkowy, operetka, filharmonia po dawnemu będą obsługiwały tereny trzech nowych województw. Prawda, że dotacje pójdu tylko przez Lublin, ale prak-

tycznie nie powinno to mieć żadnego znaczenia. Może tylko tyle, że jeśli jedno z owych trzech województw zechce korzystać ze współpracy z tymi placówkami mocno ponad jakąś rozsądną normę, będzie musiało ruszyć także własną kiesz.

Mała scena teatru dramatycznego zostanie utrzymana, plan repertuarowy jest opracowany, są środki na jego realizację.

— A rodzacy się dopiero u Tytusa Wilskiego teatr rozrywki? — pytam.

— Będziemy popierali każdą dobrą inicjatywę, także finansowo. Podczas naszej poprzedniej, nieoficjalnej rozmowy oburzył się pan redaktor, że dom kultury na Bronowicach, aby zdobyć pieniądze na działalność merytoryczną, szukał poprzez ogłoszenia w prasie chętnych do wynajęcia sali. Daliśmy już sto tysięcy złotych i dom kultury będzie nadal domem kultury. Inicjatywa pana Wilskiego też zasługuje na poparcie, będziemy z nim

Dokończenie na str. 6

Jan Górec-Rosiński

* * *

*Twoje dłonie przyplyw lagodny
odeszły z moich portów.
Twoje oczy podróż we mnie
zgasily horyzont cudów.
Nie ma nas choć jesteśmy.
Zdziwienie skrzat niekochany
w kącikach oczu
rysuje
polarne koła.*

W NOCE BIAŁE

*W nocie białe w nocie mych
ogrodów
gdy owoce grzeszą pełnią
twoje oczy kwitną niezmyslenie
na kamiennej ścieżce cieni
umiera
odpadł liść akacji jak rozpacz
od drzewa
w nocie białe w nocie mych
ogrodów
twoja krągłość moje sny usypia
i przychodzi opowieść jesienna
skracać dzień wczorajszych
ptaków*

Dalsze wiersze na str. 6

EROTYKI

„GUTEN MORGEN, HERR JAWORSKY”

Marek Adam Jaworski

ZWIE się to „podróżą informacyjną”. Jadę do Republiki Federalnej Niemiec na zaproszenie Ambasady RFN w Warszawie. W ciągu dwunastu dni pobytu będę w Hamburgu, Monastyrze, Bonn, Kolonii, Koblencku, Moguncji, Monachium. W planie — przejażdżka statkiem po Renie. Była tylko wrześnie pogoda dopisała, bo klimat polityczny po Konferencji w Helsinkach jest na pewno lepszy niż w pełni lata...

Jako środek lokomocji wybrałem pociąg. Swobodniej czuję się na ziemi niż w powietrzu. Już od najmłodszych lat uwielbiałem koleje. Krzesła, ustawione w pokoju jedno za drugim, miały imitować wagony. Ja w czerwonej kolejarzkiej czapce zawiadowcy, zrobionej z papieru, byłem carem i bogiem. „Sprzedawałem” podróżnym, czyli malcom, mieszkającym po sąsiedzku, bilety. Były to bilety oryginalne, pieczętowane przez mnie zbierane. Nie bez pewnego żalu dziurkowałem je ostrymi końcami nożyczek. Spełniałem więc poza zawiadowcą rolę kasjera i konduktora, by wreszcie przekształcić się w maszynistę. Pociąg wprowadził stał cały czas w miejscu, ale kiedy przewróciło się krzesło na podłogę, dla wszystkich było jasne, że nastąpiła katastrofa. Prawdziwą katastrofą, nie tylko dla mojego dzieciństwa, przyniósł wrzesień 1939 roku. A w dziesiątym miesiącu potem na długi czas zniknęła żelazna droga: pociąg eskortowany przez SS-owców uwiózł mojego ojca do Oranienburga...

Mimo woli myślę o tym teraz, gdy mijam Zbąszyń, dawną stację graniczną między Polską a Niemcami. To tutaj jakimś cudem udało się ojcu podać komuś kartkę pocztową, która szczęśliwie trafiła do adresata. Było to niemal równo trzydzieści pięć lat temu!

Nie mogę spać. Stoje na korytarzu i śmie giewont. Otwieram okno, wrzesień noc jest wyjątkowo ciepła. O której godzinie mijales, Ojciec, tę stację? Nie pytałem Cię o to, a teraz, właśnie teraz, byłoby to dla mnie bardzo ważne. Niestety, już nigdy się tego nie dowiem, choć należałem do tych nielicznych szczęśliwców, którzy tą samą trasą jechali również i z powrotem...

Kontrola graniczna, krótki postój w Słubicach i już NRD, państwo, które odwiedzałem kilkunastokrotnie, państwo, w którym mam wielu dobrych znajomych i przyjaciół. Nie po drodze mi jednak tym razem Naumburg, nie po drodze mi Neustrelitz, a sam Berlin też mignie mi tylko z okna wagonu. Po kolejnej kontroli granicznej znajduję się w zachodniej części wielkiego miasta, a widok Kolumny Zwycięstwa, po wojnie prusko-francuskiej wzniesionej, i dworca Tiergarten skojarzy mi się z majem 1945 roku. To na Kolumnie Zwycięstwa żołnierz polski wywiesił biało-czerwoną flagę, to w rejonie Tiergarten toczył zarte boje w przeddzień kapitulacji Trzeciej Rzeszy. Zniknęły już ruiny, nowoczesne budowle nie są jednak w stanie do ona zatrzeć brzydoty dawnego Berlina. Może to moje osobiste odczucie.

Wagony zaludniają się. Wśród władających sporo twarzy śniadych, południowych. Nie trudno się domyślić — gastarbeiterzy, którzy będą mi otąd nieustannie towarzyszyć. Gastarbeiterzy — ludzie, którzy najbardziej odczuwają gorączkę recesji; którzy — jeśli jeszcze pracują — trzy razy pomyślą zanim rozmienną banknot dziesięciomarkowy.

Mój przypadkowy rozmówca, kędzierzawy, niewysoki chłopak, pochodził z Hiszpanii. W Berlinie Zachodnim pracuje około dwóch lat. Jest kelnerem.

— Jeszcze dzisiaj — mówi — na plechotę wróciłbym do domu, ale tam nie ma dla mnie życia. Demonstraliśmy przeciwko dyktaturze generała Franco, twarze po oczy zakryliśmy chustami, po co mają nas rozpoznać? I tutaj nikt się pewnie nie czuje, zwłaszcza że nie wie, kiedy będzie musiał wyjechać. W Berlinie Zachodnim jeszcze stosunkowo najłatwiej o pracę, ludzie nie chcą tu mieszkają, kto może, przenosi się do RFN. A jak życie w Polsce?

I już ja muszę mówić, on zadaje pytania i widzę, że nie obce mu nasze problemy.

Później natrafiam na stary numer „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Ernst Levy pisze w artykule p. t. „Der Schund zehrt an Berlin” („Zanik trawli Berlin”), że na początku 1980 roku (wskazują na to obliczenia Krajowego Urzędu Statystycznego) Berlin Zachodni będzie liczył tylko 1 988 000 mieszkańców. Jednak, być może, że jeszcze wcześniej należy oczekiwać wielkiego spadku ludności, albowiem nikt nie wie, czy prognoza statystyczna jest trafna. Są tacy, którzy sądzą, iż w 1990 roku liczba ludności Berlina Zachodniego wyniesie zaledwie 1,7 mln, a w tej liczbie 12 proc. będą stanowić obcokrajowcy. Wyjeżdżający z miasta podają jako główną przyczynę jego pociągnięcia i zbyt wysokie komornie.

Kiedy ponownie, po krótkim zatrzymaniu się, wjeżdżamy na terytorium NRD, wiem, że pociąg nie zatrzyma się już do samej granicy. Można więc spokojnie skorzystać z usług wagonu restauracyjnego. W karcie identyczne ceny potraw wyrażone w markach „wschodnich” i w markach „zachodnich”. (Określam skrótem, oficjalne nazwy marek są nieco inne). Jeszcze mnie te identyczne ceny dziwią, bo zaraz sobie przeliczę oficjalny kurs marki „zachodniej” w stosunku do dolara, czyli mniej więcej 2,5 marki „zachodniej” za dolara i... kurs marki „wschodniej” w stosunku do złotego.

Wkrótce jednak — po odwiedzeniu pierwszej lepszej restauracji w RFN — zdziwienie minie, albo nabierze innego wymiaru. Bo jedzenie — podkreślam jedzenie — oceniane w markach „zachodnich” i w markach „wschodnich” kształtuje się taniej wówczas, jeśli je kupujemy (w NRD) za marki „wschodnie”. Inne proporcje będą przy wyrobach przemysłowych. Jeszcze jednak człowiek musi codziennie, a np. radio czy magnetofon może kupić raz na pięć czy nawet dziesięć lat. Również mieszkanie czy komunikacja — a to przecież sprawy niezwykle ważne — są tańsze (i to znacznie) w NRD niż w RFN. Wszelkie mnożenia, przeliczenia są zresztą sprawą niezwykle skomplikowaną. Nie dziwię się jednak rodakom, jeśli — jadąc na Zachód — obficie zaopatrują się w żywność nabytą za złotówki.

Ale oto i RFN, chciałoby się powiedzieć: jestem po drugiej stronie Łaby. Wystarczy jednak spojrzeć na mapę, by się przekonać, że tylko na małym odcinku, w okolicach Hamburga, Łaba jest rzeką graniczną. „Po drugiej stronie Łaby” praktycznie znaczy więc również... w Lipsku!

W Hannoverze mam przesłankę. Chętnie bym się zatrzymał, bo właśnie teraz trwają tu Dni Polskie, ale mój plan pobytu stoi na przeszkodzie. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że w Hamburgu, dokąd właśnie podążam, Dni Polskie zakończyły się przed tygodniem. Na ten temat szczegółowo pisał M. F. Rakowski w „Polityce”. Autor w konkluzji zaliczył je do tych wydarzeń, które sprzyjają rozwojowi dobrosąsiedzkich stosunków między Polską a RFN. I na pewno miał rację.

Do pociągu, udającego się w kierunku Hamburga, wskakuję niemal w ostatniej chwili. Wagon pierwszej klasy jest zapelniony w połowie, ale wagon klasy drugiej, gdzie z ciekawości zaglądam, nie ma wolnego miejsca.

Nasi korespondenci w Bonn zwracają zwykle uwagę na wielką politykę. O niej też będę pisał, ale na razie o

sprawie przyziemnej. Zajmuję miejsce w przedziale, tak jak i u nas obliczonym na sześć miejsc. Ale pod głową znajduję małą poduszczykę w białej poszewce. Gdy chcę wyciągnąć nogi, mogę skorzystać z podnóżka. Na ścianie — czasopismo, jak to się mówi, do wglądu, a na półeczce krótki rozkład jazdy „mojego” pociągu. Ponieważ pociąg mknie dość szybko, na podstawie przesuwających się słupków z kilometrami staram się obliczyć jego szybkość. Wychodzi mi ok. 120 km na godzinę.

Wagon nie trzęsie, przy oknie sympatycznie wyglądająca para. Oboje czytaj gazety. Spokój. Rzucam okiem na czołówkę dziennika i skóra mi cierpnie: „Wybuch bomby na dworcu kolejowym w Hamburgu. 11 osób rannych”. A ja tu jadę w samą paszczę lwa!

Najwidoczniej patrzę zbyt natęcznie, chcąc pochłonąć wzrokiem i mniej literki, bo mój towarzysz podróży podaje mi kilka stron gazety. I od tego zaczyna się nasza rozmowa.

Herr Wolfgang Hintze prowadzi (jak się później dowiedziałem z jego wizytówki) salon fryzjerski dla pań i panów w miasteczku Reinbek. Należy (a o tym już wiem z samej rozmowy) do CDU. Natomiast jego żona (właśnie ta pani naprzeciwko) jest członkinią SPD. Na każdą zmianę warty w pałacu kanclerskim małżeństwo Hintze jest więc odpowiednio przygotowane. To, oczywiście, żarty. W każdym razie Herr Hintze zapewnia, że zawsze ma w domu tematy do dyskusji, nie tylko dotyczące aktualnych fryzur. Potem jednak rozmowa staje się bardziej poważna. Mój rozmówca, mężczyzna około czterdziestki, pochodzi z Kozzalina. Opuścił to miasto zaraz po wojnie i teraz dość gorączkowo usiłuje mnie przekonać, że jego dom jest tu, w Republice Federalnej Niemiec, i że on nie rości sobie żadnych pretensji do zachodnich ziem Polski, ale chętnie, jako turysta, przyjechałby zobaczyć, jak Kozzalin wygląda teraz.

— Ja bym chyba tego miasta dzisiaj nie poznał — mówi. Muszę mu przyznać rację. Dodaje, że nas, Polaków uważają za ludzi gościnnych. Jest to opinia słuszna. Bardzo jednak nie lubimy, jeśli ktośkolwiek stara się tę gościnność nadużywać, a tak, niestety, bywało w trzydziestoletniej przeszłości. Przejrzyta aluzja, no — aluzjka, chyba zostaje trochę inaczej zrozumiana, bo Herr Hintze udaje się na poszukiwanie kelnera. Piwa jednak nie doczekaliśmy się: kilka minut po piętnastej pociąg zatrzymuje się na dworcu hamburskim. Bomby wybuchły tu wczoraj. Życie toczy się dalej...

Mam zamówiony pokój w hotelu „Atlantic”. Przed dworcem rząd taksówek. Gdzie tam rząd! Cztery rzędy! Złamanie licznika — 1 marka 60 fenigów. Za ulokowanie walizki w bagażniku dopłata w wysokości jednej marki. Hotel jest, na szczęście, niedaleko, ale i tak rachunek wynosi 3 marki 80 fenigów.

Hotel „Atlantic” należy do najznakomitszych w mieście. Instytucja, która mnie tutaj gości, Inter Nationes, zadbała o wszystko jak należy. W portierni nazwisko moje nie jest obce, ba — następnego dnia rano witała mnie bez zagładania do książki meldunkowej słowami: „Guten Morgen, Herr Jaworsky”. Oczywiście hotel jest prywatny. Czy przy tej okazji właściciel obsłuzde właściciel (właściciele) wychodzi na swoje? Przeszłam zadawać sobie głupie pytania, gdy przypadkowo dowiedziałem się, ile płacono za mój pokój. 105 marek za dobę. Kelner — gastarbeiter zarabia tu 500 marek w ciągu miesiąca. Z tego 100 marek płaci za pokój, w którym mieszka wspólnie z

kolegą. W odległości 10 kilometrów od Hamburga. A dojazdy kosztują...

Błyskawicznie biorę prysznic, bo wiem, że już poszły „wici” i zaraz ktoś będzie na mnie czekał w portierni.

Jest Frau Marie von Schulenburg, a ściślej, jak później wyczytuje w oficjalnym programie, „Graefin von Schulenburg”. Matko Boska Częstochowska, do czego dochodzi? Członka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej będzie pilotować grafini?

Frau Schulenburg wychowywała się w Poznaniu, miała ojca Polaka, matkę — Niemkę. Ta ostatnia musiała mieć na nią wpływ większy niż ojciec, skoro dzisiaj żyje tutaj, a nie między Odrą a Bugiem. Nie lubię wchodzić w cudze życie, ale prawdą jest, że Frau Schulenburg wyjechała z Poznańskiego, wówczas Wartegau, w głąb Rzeszy, w 1942 roku. Rozmawiamy o tych sprawach bez żadnych ogródek. Frau Schulenburg znakomicie operuje językiem polskim, choć po akcentie można już poznać obce naleciałości. Obce, oczywiście, dla mnie. Nikt nikogo do niczego nie stara się przekonywać, wzajemnie unikamy raf, toteż pokojowe współistnienie trwa bez żadnych zakłóceń. W danym wypadku Frau Schulenburg jest jednak w o tyle szczęśliwszej sytuacji, że to ona, a nie ja, trzyma kasę. Ale nie wnikałbym w drobiazgi...

Dzisiejszy program zakłada spotkanie z Oswaldem Beckiem, przewodniczącym tutejszego Niemiecko-Polskiego Towarzystwa, właścicielem wydawnictwa „Oswald Beck-Verlag”, działaczem CDU. Właśnie Herr Beck nadchodzi. I on zna język polski, czemu się już zupełnie nie dziwię, skoro w 1958 roku przyjechał do RFN w ramach leczenia rodzin. Wsiadamy do jego samochodu: wiezie nas na podwieczorek do swego domu.

Jest jeszcze jasno. Oglądam Hamburg, miasto, które solidnie ucierpiało w czasie ostatniej wojny. Nie wiem, tak ono wyglądało kiedyś, nie mogę jednak powiedzieć, by dziś mi się nie podobalo.

Jak się później dowiedziałem, w okresie powojennym zrobiono tu bardzo wiele, a niektóre inwestycje spotkały się nawet z krytyką. Po co na przykład miasto miało wydawać aż 200 milionów marek na budowę „City-S-Bahn”, która pokrywa wewnętrzną obszar miasta obsługiwany już przez „U-Bahn” (metro)? Obecny burmistrz Hans Ulrich Klose, od niemal stu lat najmłodszy burmistrz w tym mieście (ma 37 lat), jest zarazem premierem rządu krajowego. Kiedy obejmował swe stanowisko w listopadzie ub. r., dziennikarz zapytał go: „Co pan obiecuje hamburczykom?” Klose odpowiedział: „Absolutnie nic. To właśnie jest nowy element w mojej deklaracji”. Burmistrz przedstawił jednak swój program, program oszczędności. „Nikt nie może stać się ponad stan — mówi. — Obecnie oszczędności służą na dalszą metę dobru Hamburga.”

Ale burmistrz nie ma łatwego zadania. Trzeba obcinać fundusze, i tak nikie, na tanie budownictwo mieszkaniowe, na inwestycje szkolne i uniwersyteckie, na budowę dróg i szpitali. Komunikacja miejska i podmiejska otrzymała z kasy miejskiej dotację w wysokości 35 proc. kosztów eksploatacji, zachodzi więc konieczność szukania dodatkowych pieniędzy poprzez podwyżkę cen biletów. Czy były protesty obywateli miasta? Oczywiście. Burmistrz odpowiedział: „Moje drastyczne decyzje nie zależą ani od liczby ani siły protestów obywateli. Jeżeli obywatele pragną takich wydatków, jakich ja nie pragnę, muszą na moje miejsce wybrać kogoś innego.” Burmistrz należy do SPD. Zwalała go CDU. Wątpliwe jednak, czy w obecnej sytuacji CDU mogłaby znaleźć inne rozwiązanie.

Herr Beck lubi Hamburg, chociaż właściwie mieszka w dzielnicy podmiejskiej za tym gigantycznym cmentarzem, bodaj największym na świecie. Czy wyobrażacie sobie cmentarz, który muszą „obsługiwać” aż dwie linie autobusowe? To jest właściwie nie cmentarz, ale park przecinany asfaltowymi drogami. Ile dni trzeba by poświęcić, aby go zwiedzić dokładnie? Tydzień?

(cdn)

CO DALEJ Z KLUBAMI?

TRZYDZIESTEGO października 1985 roku w Paszkach Dużych koło Radzyna otwarto rok kulturalno-oświatowy. Uroczystość odbyła się w Klubie „Ruchu”, brał w niej udział dziennikarz „Trybuny Ludu”. Chuchało się wówczas na wiejskie kluby kultury, pisało o nich często i życzliwie, to był naprawdę pierwszoplanowy temat naszej publicystyki. No i kluby kwitły: „Ruch” okazał się dobrym, szczerym partnerem, władze lokalne doceniały, przede wszystkim jednak sama społeczność wiejska w lot pojęła znaczenie całej sprawy. Wspomagano kluby moralnie i czynnie, faktycznie — nie do wiary! — działały wówczas rady społeczne, złożone z ludzi tyle ruchliwych, co władnych. Przy okazji wyszła na jaw cała egzotyka obyczajowa środowiska wiejskiego, albo inaczej mówiąc — kłopoty ze znalezieniem się w sytuacji wzorowanej ostatecznie na miejskiej. Wypijano zatem po pięć i więcej szklanek kawy na głowę. Prasa odnotowała także przypadki podmażania ziaren kawy na tłuszczu... Okazało się, że mimo wielkiego zbliżenia cywilizacyjnego, między miastem a wsią nadal istnieje poważny dystans kulturowy. Oczywiście, były na to poważniejsze dowody.

Ale okazało się jednocześnie, jak znaczna jest w środowisku wiejskim potrzeba codziennego kontaktu ze światem. Kluby nie tylko zapewniały ów kontakt poprzez prasę, telewizję i spotkania z interesującymi ludźmi, ale wyzwały jakby wyższe zainteresowania, przekraczające ramy codziennej egzystencji. Próbowano w klubach organizować zabawy bezalkoholowe — z różnym skutkiem, ale próbowano przecież. W niektórych nauczano gry w brydża, Urządzano konkursy plastyki dziecięcej i fetowano imienniny byłych członków klubu, starając się respektować jakby lepszy sposób bycia. Największym powodzeniem cieszył się teatr telewizyjny.

Przy końcu lat sześćdziesiątych kluby zamieniły się w sklepiki gazetowo-spożywcze. Zabrakło odpowiednio przygotowanych ludzi, którzy pionierskie i spontanicznie organizowane akcje mogłyby przekształcić w stałą działalność kulturalną, odpowiadającą znacznie już

wyższym wymaganiom wiejskiej społeczności. Zabrakło środków finansowych na podniesienie standardu wyposażenia placówek. Telewizor stał się na wsi aparatem powszechnego użytku, klubowa „Fre-gata” przestała być atrakcją. Wokół wiejskich klubów kultury zapadła cisza.

Wydaje się, że pora ją przerwać, nadając całej sprawie żywsze tempo. Nie chodzi przy tym o resentymenty, chodzi o poważne spojrzenie na sytuację w kulturze na wsi. W 45 gminach województwa lubelskiego nie ma ośrodków kultury. Sugestia, aby tworzyć je przy pomocy czynów społecznych, wydaje się racjonalna. Równie sensowne wydaje się oparcie działalności kulturalnej o szkoły gminne, zalecane przez władze resortowe. Pierwsze z tych rozwiązań może doczekać się jednak spełnienia dopiero w przyszłości, nie wiadomo zresztą jak odległej. Mamy pewne doświadczenia w tej kwestii. Natomiast drugi postulat, bardziej trzymający się ziemi, preferuje działalność koordynacyjną i instrukcyjną. Realnie zatem patrząc na sprawę dochodzi się do wniosku, że konkretna rola kulturalna może i powinna rozwijać się w klubach „Ruchu” i „Rolnika”.

Tych pierwszych mamy w woj. lubelskim 153, drugich — 124. Planuje się, że do 1980 roku liczba klubów „Ruchu” zwiększy się do 185, przy zachowaniu aktualnego stanu klubów „Rolnika”. Statystyka nie jest przecież w tym wypadku najważniejsza. Istotne, kto będzie prowadził te placówki i jakie będzie ich wyposażenie. Nie są to problemy nowe, ale w obecnej sytuacji warte ponownego przemyślenia i bardziej zdecydowanych rozwiązań. Jeśli tym naszym rozważaniom nie będzie towarzyszyło przeświadczenie, że kluby są znów (nadal?) ważną formą upowszechniania kultury na wsi, niczego dobrego nie wskóramy. Sądzę, że nabranju większego przekonania do sprawy sprzyjać będzie informacja, krótka nota, o działalności Klubu „Ruchu” w Paszkach Dużych. Istnieje ponad 10 lat — prowadzony od 10 lat przez jedną i tę samą osobę, Kazimierę Gostkowską. Klub urządza konkursy „na najlepszego czytelnika książek”, „na najbardziej estetyczne gospodarstwo”. Organizuje spotkania z aktorami i dziennikarzami, z prozaikami i poetami ludowymi. A kiedy przychodzi czas remontu, wszyscy stali bywalcy zakasują rękawy i biorą się do społecznej roboty.

Takich klubów jest więcej. Bo widocznie takie kluby są na wsi nadal potrzebne.

Janusz Adamiecki

ZEGAR PRAWDY NIE POWIE

KORZYSTAJĄC z zaproszenia i sekretarza KC PZPR do zabrania głosu w dyskusji przedzjazdowej, chciałbym zwrócić uwagę na dwa zjawiska, które trzeba zakwalifikować do zjawisk wysoce ujemnych.

Przede wszystkim chodzi mi o efektywne wykorzystanie czasu pracy. Wiele już mówiono i pisano na ten temat. Fachowcy obliczyli, że w naszych zakładach pracy przeciętnie traci się dziesięć procent czasu na sprawy nie związane z produkcją. Najczęściej jako przykłady takiego marnotrawstwa podaje się place budowy, ale chyba tylko dlatego, że nie są to tzw. zamknięte zakłady pracy, że na plac budowy może wejść każdy z nas z ulicy lub z okna własnego domu.

Tymczasem za murami fabryk też nie dzieje się najlepiej. Nawet tam, gdzie formalna kontrola dyscypliny pracy nie wykazuje większych nieprawidłowości.

Otóż w każdej już średniej wielkości fabryce znajdują się przy wejściu zegary, na których pracownicy odbijają godzinę przyścia do pracy. I tu właśnie cały problem. Przecież czas, uwidoczniiony na karcie przez zegar, jest w rzeczywistości czasem przekroczenia przez pracownika portierni lub innego pomieszczenia, ale nie czasem rozpoczęcia pracy.

Normalnie wygląda to w ten sposób — nie wszędzie, ale w wielu zakładach pracy — że po odbiciu godziny, porozmawia się jeszcze z kolegami o wydarzeniach dnia poprzedniego, potem trzeba się przebrać w ubranie robocze, zapalić papierosa itp. Nie są to sprawy same w sobie naganne. Chodzi tylko o to, aby poświęconego na to czasu nie wliczać do efektywnie wykorzystanego czasu pracy. Podobnie zresztą dzieje się po zakończeniu pracy, którą znów sankcjonuje zegar przy wyjściu, a nie faktyczne zatrzymanie maszyny.

W niektórych fabrykach wprowadzono już inny sposób rozliczania czasu pracy. Liczy się nie godzinę i minutę wybitą przez zegar, ale chwilę oddania tej karty mistrzowi lub brygadziście. W kilku zakładach pracy — ale to już poza województwem lubelskim — zegary po prostu przeniesiono do hali fabrycznej w bezpośrednie sąsiedztwo stanowiska pracy.

Nie są to wcale małe straty czasu. Jeżeli np. w Fabryce Samochodów Ciężarowych każdy pracownik „zabawiani” przeciętnie chociażby pięć minut, to w sumie mamy ponad tysiąc godzin straconych, czego na zegarach wcale nie widać. Myślę, że to jest duża rezerwa, z której długo jeszcze będziemy mogli czerpać, podnosząc efektywność naszej pracy.

Następna sprawa to praca na drugiej zmianie. Wiadomo, że najszybciej starzeją się technologie i maszyny. Działanie więc polega na tym, aby te maszyny w pełni wykorzystać zanim się one starzeją. Przy pracy jednozmianowej jest to niemal niemożliwe i rezultat jest taki, że chcąc utrzymać swoje wyroby na wysokim poziomie światowym, musimy modernizować park maszynowy wcześniej, niż następuje śmierć techniczna maszyny.

W naszej sprawozdawczości oficjalnej istnieje tzw. wskaźnik zmianowości, który wprowadzono bardzo powoli, ale przecież zwiększa się. Dokładniejsze badania wykazały jednak, że były wypadki, iż kierownictwa niektórych przedsiębiorstw wskaźnik ten podwyższały sztucznie. Po prostu część załogi przenoszono na drugą zmianę. Wskaźnik oficjalny polepszył się, ale wykorzystanie maszyn pozostawało na takim samym poziomie, wielkość produkcji nie zwiększyła się ani o grosz.

Może ktoś powiedzieć, że wskutek coraz silniej odczuwanego braku rąk do pracy, mówienie o drugiej zmianie jest nieaktualne. Nie jest to prawda. Rzecz bowiem polega na tym, że w wielu zakładach pracy — myślę tu zwłaszcza o spółdzielniach i mniejszych zakładach przemysłu terenowego — robi się to samo, lub też artykuły bardzo podobne. Naturalnie każda spółdzielnia czy mały zakład ma ambicję, aby poprzez rozbudowę czy modernizację parku maszynowego robić szerszy i lepszy asortyment. To pociąga za sobą konieczność zakupów inwestycyjnych, czasem za dewizy. A potem te maszyny są tylko w części wykorzystane, bo i w jednej i w drugiej spółdzielni pracuje się przy nich na jedną zmianę.

Kazimierz Rutkowski

NIECIERPLIWI KLIENCI

OD pewnego czasu w naszym kraju przestaliśmy się wstydić faktu, że równocześnie z przesłankami ideowo-moralnymi (które należy kształtować i rozwijać) ważnym motywem ludzkiego działania i ludzkich aspiracji są potrzeby materialne (których zaspokajaniem należy sterować). VI Zjazd wyszedł z założenia, iż systematyczny wzrost poziomu życia społeczeństwa stanowi naczelną zadanie polityki społeczno-gospodarczej i jest ważnym czynnikiem stymulującym intensywny rozwój gospodarki socjalistycznej — powiadają Wytyczne Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR. Zadania te zostały — jak wiadomo — poważnie przekroczone, zaś w cytowanym wyżej dokumencie Wytycznych stwierdza się, iż w latach 1976—1980 będzie kontynuowana i rozwijana strategia społeczno-gospodarcza sformułowana na VI Zjeździe PZPR, co oznacza dalszy wzrost zamożności naszego społeczeństwa.

Przy tym idzie tu już nie tyle o to, by obywatel był syty i należałoby odziaływać, ale by godziwie mieszkał, miał coraz więcej wolnego czasu na wypoczynek i rekreację, był dobrze obsługiwany i zaopatrzony w przedmioty trwałe, ułatwiające życie. Powiadają Wytyczne: Należy zwiększyć wydatnie dostawę automatów pralniczych, odbiorników telewizyjnych do odbioru programów w kolorze, sprzętu stereofonicznego, samochodów osobowych, maszyn i urządzeń ułatwiających prowadzenie gospodarstwa domowego. I dalej: Zasadniczy postęp powinien być dokonany w dziedzinie ilościowego i jakości-

wego rozwoju usług dla ludności. Dotyczy to zwłaszcza usług związanych z zagospodarowaniem i wyposażeniem nowych mieszkań oraz podnoszeniem ich standardu, usług pralniczych, motoryzacyjnych i związanych z ruchem turystycznym.

Chciałbym się zatrzymać nad kwestią usług motoryzacyjnych, która silną rzeczą mogła być tylko zasygnalizowana w Wytycznych. Pewno, że są potrzeby pilniejsze (mieszkania choćby), a Polska ze swymi 23 samochodami osobowymi na 1000 ludności nie stanowi jeszcze żadnej potęgi motoryzacyjnej w Europie. Ale — jak słusznie zauważył Jerzy Gdynia („Polityka” nr 37/1975) — występuje coraz większy „nacisk społeczny na rynek samochodów osobowych w Polsce. Nacisk ten rodzą: coraz mniej wygodny i coraz bardziej czasochłonny przejazd koleją czy autobusem i stale rosnące dochody osobiste ludności. Trzeba do reszty obalić z gruntu fałszywy mit o samochodzie jako przedmiocie luksusu, a widzieć w nim — z jednej strony narzędzie pracy oszczędzające czas i siły, z drugiej strony substytut i konieczne uzupełnienie potencjału transportu społecznego”.

W szybkim też tempie zbliżają się lata, kiedy na nasze drogi i ulice wyjadą dosłownie tysiące posiadaczy „ma-

łych fiatów”, kierowcy niedoświadczeni zarówno w obsłudze technicznej, jak i prowadzeniu pojazdu. Oni będą najbardziej uciążliwymi — w początkowym okresie — użytkownikami dróg, niecierpliwymi klientami stacji obsługi.

Tymczasem każdemu zmotoryzowanemu wiadomo, że już dzisiaj, kiedy ta lawina nawet nie ruszyła, sytuacja zaplecza i poziomu usług motoryzacyjnych, kwestia części zamiennych przedstawiają się wprost rozpaczliwie, a samochód często przestaje być ułatwieniem i przyjemnością, natomiast staje się udręką pozerającą czas i nerwy. Kłopoty zasadnicze są nawet z częściami „fiatowskimi” czy „syrenowskimi” i można podejrzewać iż wzrost produkcji tych samochodów odbywa się kosztem produkcji części zamiennych. Najbardziej poszkodowany jest tu klient prywatny, gdyż przedsiębiorstwo dysponującemu samochodami łatwiej się bezpośrednio porozumieć z producentem, nam zaś pozostaje stacja obsługi lub sklep, gdzie najczęściej słyszy się: „NIE MA”.

Stacji obsługi w całym kraju niedostatek i jest to typowy rynek usługodawcy co w praktyce prowadzi niejednokrotnie do sytuacji tragikomicznych i sprawdza klienta do pozycji kłęczącej. Ponadto powstaje jeszcze

kwestia wyposażenia tych stacji. Krajowe diagnostyki (do silnika) ZD-1, produkowane przez Fabrykę Obsługowych Urządzeń Samochodowych w Warszawie, są znane w całej Polsce jako przykład roboty zawodnej i niesolidnej. Kompletnie oprzyrządowanie do najwzyskiej „syreny” kosztuje 120 tys. zł i ciekawe, która z terenowych stacji obsługi mogłaby się nim pochwalić? A przecież istnieją kraje, gdzie w przydrożnych stacjach benzynowych dokonuje się prostszych czynności diagnostycznych i obsługowych, napraw z wymianą części i podzespołów.

Równoległe do tych kwestii istnieje ponadto sprawa stanu naszych dróg i ich oznakowania. Coraz częściej ostatnio mówi się o wprowadzeniu nowego znaku: „obszar zabudowany”, co pozwoli w praktyce uniknąć najrozmaitszych przetargów na szosie między kontrolerami ruchu a kierowcami. Lecz coraz rzadziej słyszymy o tym, że znaki drogowe na szosach są po prostu za małe, że trzeba by przemyśleć i urealnić w praktyce wiele znaków ograniczenia szybkości, z których sama milicja się śmieje!

O całej — by tak rzec — infrastrukturze naszej motoryzacji musimy pomyśleć już dzisiaj, jeśli nie chcemy zdławić samej motoryzacji, zanim ona się na dobre rozpocznie.

Stanisław Lubieniecki

MUNDUROWE WSPOMNIENIA CYWILA

Bohdan Królikowski

PRZYSZŁY historyk ubiorów — kostumolog będzie miał dużo roboty z wiekiem dwudziestym. Ilez to razy za naszej już pamięci zmieniał się ubiór wojskowy, ściśle uzależniony od regulaminów.

Polski mundur wojskowy w okresie powojennym podlegał wielu zmianom. Prawdopodobnie moja próba „wspomnień cywila” o mundurach będzie niepełna, pomijająca rzeczy, których nie zapamiętałem lub po prostu nie uchwyliłem.

Pierwszy okres (zahaczający o ostatnie lata wojny) w tej historii zakończony był rokiem 1949, który przyniósł zasadniczą reformę umundurowania, bliską chronologicznie innym jeszcze zmianom w wojsku, idącym dalej niż zmiana kroju czapek. Przed tą datą obowiązywały w zasadzie przepisy ubiorcze z lat 1935—1939. W zasadzie, gdyż w praktyce istniały odstępstwa, wynikłe z różnych przyczyn, choćby z trudnych wojennych i powojennych warunków.

Skromny był ten mundur pierwszych lat po wojnie: spłowiały drelach z sukienkami naramiennikami, owijające, kierzowe wysokie buty oficerskie (młodzieży trzeba by wyjaśnić: buty szyte z mocnej tkaniny w rodzaju brezentu, zielonej, czernionej potem pastą) i czapki polówki wzór 1937. Tu rzecz charakterystyczna: kiedy przepis mundurowy 1919 roku wprowadził sztywne rogatywki (ale bez kolorowych otoków) jako czapki polowe, wojsko zaczęło je samorzutnie zmiekczać usuwając usztywniające druty. Natomiast w latach 1943—1945 zachodziło zjawisko odwrotne: wojsko częstokroć

właśnie usztywniało drutami miękkie polówki, chcąc nadać im sztywność wymarzonej garnizonowej rogatywki.

Przed zakończeniem wojny i zaraz po niej wojsko nosiło na kołnierzykach proporczyki w barwach broni (zasadniczo zgodnych z przedwojennymi, niekiedy tylko odmiennych): w kawalerii tradycyjne, w innych rodzajach broni trójkątne, takie jak przed wojną broń pancerna i Obrona Narodowa (podobne do proporczyków 2 Dywizji Strzelców Piechoty we Francji, które miały kształt „ostrza bagnetu”).

Jak wiadomo, w wojsku do roku 1945 obowiązywał orzeł zwany piastowskim, wzorowany na neogotyckim z grobowca Władysława Hermana w Płocku. Ponieważ jednak nie był on umieszczony na tarczy amazonek, ukochanym przez wojsko tradycyjnym elemencie — dlatego moda nakazywała nosić orla przedwojennego — na tarczy amazonek. Szybko zresztą rozkaz naczelnego dowództwa modę tę usankcjonował, wprowadzając dwa rodzaje obwiązujących orzełków, a następnie „piastowskiego” wycofując.

Jeszcze w czasie działań wojennych zaczęto mundury zdobić, dodawać im sztywności. Czynie to zwłaszcza oficerowie, szyjąc sobie sztywne czapki, wysokie eleganckie buty, haftując węże na kołnierzach. W tych „prywatnych” mundurach panowała zresztą duża dowolność: nie zawsze szyto czapki całkiem zgodne z przepisami, używano np. w pie-

choć aksamitnych otoków według przepisów przedwojennych należnych artylerii, broniom technicznym i lekarzom (także korpusowi oficerów sądownictwa). Zmieniano też niekiedy kolory otoków, np. w broni pancerniej zamiast pomarańczowych zaczęto nosić czarne (drugi kolor proporczyków), oficerowie służby administracyjnej zaczęli nosić „swoją” kolor — morski (jasnoniebieski — turkusowy). Dano też kolorowe otoki generałom, którzy ich przed rokiem 1939 nie nosili.

Kurtki szyto niekiedy z otwartym kołnierzem, dawano im różne kieszenie, rozmaite klapki nad kieszeniami. Nie zawsze noszono regulaminowe wężyki.

Jeszcze przed 1949 rokiem zaczęto sztywne rogatywki wymieniać na czapki okrągłe (zwane wówczas szwoleżerkami jako że przed 1939 rokiem nosili je szwoleżerowie). Ukazał się wtedy w jednym z pism artykuł J. Borejszy, broniący tradycyjnego nakrycia głowy, które usuwano, tłumacząc to względami praktycznymi.

Reforma roku 1949 wprowadziła dla całego wojska czapki okrągłe z czerwonymi otokami i czerwone patki na kołnierzach (na kurtkach zapinanych pod szyję z wężykami — dla oficerów, bo szeregowi patek nie nosili — na kurtkach do krawata w kształcie rombów z emblematami broni) do których przez jakiś czas obowiązywały wypustki w kolorach broni (nie pamiętam, czy w ogóle były noszone) i służb, według nowego „kodu”. Wyjątkami były: I DP (kolor żółty) i broń pancerna (czarna), której dano wówczas szare, niemal lotnicze mundury, z sukienkami półpłaszczami, KBW, któremu zostawiono otoki granatowe, i WOP — zielone.

Mundury w tym okresie (zwłaszcza oficerskie) zaczęły być z lepszych materiałów, szczególnie wyliczono — z kamgaru w bardzo dobrym gatunku. Pojawiły się piękne letnie płaszcze oficerskie: raglany z gabardyny. Mundur stracił jednak wiele z dawnego sztywności: kurtki zmieniły nieco kołnierze (nawet te pod szyję), zmniejszono ilość guzików, zaprzestano noszenia oficerskiej „koalicji”, noszono b. szerokie długie spodnie. Buty oficerskie (przydziałowe) szyto bez usztywników i tzw. „szklanki” — nie były eleganckie: z „harmonijką” na cholewach i w ogóle. Dlatego też wielu oficerów nosiło nadal robione na zamówienie sztywne „oficerki”.

DWA tematy skupiają od dłuższego czasu uwagę naszej publicystyki: organizacja pracy, organizacja produkcyjnego działania, oraz ochrona zabytków. Pierwszy stwarza pole do popisu dla krytyki i postaw reformatorskich w rodzaju: zbyt dużo jeszcze marnujemy czasu i materiałów, trudno powiedzieć, czy jest to kwestia tradycji, kwalifikacji, szczególnych predyspozycji do powolności i rozrzutności, zatem odajmy się pod opiekę komputerów, które narzuca nam optymalny model skutecznego działania. Kierując się takim wyobrażeniem o szczęściu produkcyjnym zakupujemy za granicą różne systemy organizacji pracy, oparte o maszyny liczące, i wprowadzamy je w rzeczywistość fabryk, przedsiębiorstw handlowych czy transportowych. Bywa, że nawet mózgi trzeciej generacji okazują się za głupie na cwanych rodków, którzy — jak to zdarzyło się w stołecznym „makrosamie” — wygrzyli racjonalny system sprawnej roboty, jako że to anglosaskie bydlę nie zgadzało się na dodatkowe zarobki personelu owej placówki, zarobki, dodajmy, niczym nie uzasadnione. Niemniej sama tendencja do tworzenia nowoczesnych systemów organizacji pracy jest mądra.

Natomiast problem ochrony zabytków traktowany jest u nas zupełnie inaczej, bardziej po staroświecku, co może nawet i zrozumiale, wynikające ze „starożytnego” charakteru przedmiotu uwagi, ale do niczego poza zgrzyzotą i myleniem pojęć nie prowadzące. Publicystyczny tryb postępowania z zabytkami posługuje się kilkoma schematami. Tak zatem wskazuje się — w tonie alarmującym — że tu a tu niszczy się pałac, park czy zameczek. Wytykanie kończy na ogół dramatyczne pytanie o winnego takiego stanu rzeczy, adresowane do wojewódzkiego konserwatora zabytków, któremu daje się do zrozumienia — jeśli nie wprost to aluzyjnie — że bez względu na odpowiedź on właśnie jest zbrodniarzem głównym. Równie ochotnie wlega się na scenę Pracownie Konserwacji Zabytków, zarzucając przedsiębiorstwu partaczenie roboty i sto innych błędów. Inny schemat ujmowania kwestii ochrony zabytków ma ton ogólniejszy sprowadza się do wyjaśniania społec-

zeństwu, jakie to wartości pozamateriałowe tkwią w dawnej architekturze etc. Mówi się zatem o „świadectwach historii i kultury narodowej”, o „pierwiastku integrującym”, o „znakach organizujących świadomość zbiorowości”.

Każdy z tych schematów bywa uprawiony — w konkretnej sytuacji. Sensowne jest piętnowanie opieszałego konserwatora wojewódzkiego czy dewastującego obiekt użytkownika. Kara publicznej chłosty (prasowej) należy się każdemu oddziałowi PKZ, który miast konserwować — stwarza pozory dobrej roboty, malując na przykład fasady staromiejskich kamieniczek podczas gdy ich wnętrza zżera ciężka choroba. Wyjaśnianie społeczeństwu, dlaczego powinno troszczyć się o własną tradycję — oczywiście, tego nigdy za wiele.

Przyjęcie takiej optyki — można ją poszerzyć o inne elementy — jakoś nam jednak problemu nie likwiduje, prasa codzienna i periodyczna aż roi się od informacji o niszczących zabytkach architektury i budownictwa, co przynębia także i z tego względu, że na cele opiekuńcze idą z państwowej kasy miliardy złotych. Nie miliony, ale właśnie miliardy. Gdzie zatem ples pogrzebany?

Profesor Marian Mazur zwrócił niedawno uwagę na bezpłodną skłonność naukowców do nadmiernej specjalizacji, do szatkowania wielkiej wspólnoty świata nauki na działy, rozdziały, akapity i półki. Siedzi taki jegomość na wysoko wyspecjalizowanej grzędzie, skrupulatnie bada jej strukturę i od tego gapienia się dostaje kurzej ślepoty: nie jest już w stanie ogarnąć spojrzeniem całego otoczenia, całej rzeczywistości — naukowej, ludzkiej i materialnej. Ta rzeczywistość składa się dlań z odrębnych wycinków, którymi rządzi odrębne prawa. Podobnie przedstawia się nasz stosunek do zabytków.

W tej właśnie dziedzinie nie potrafiliśmy stworzyć takiego systemu działania, który wiązałby ochronę obiektów historycznych z całym społecznym kontekstem życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego. Zabytkami opiekuje się w Polsce służba konserwatorska, jedyne wyspecjalizowane przedsiębiorstwo wykonawcze i grupa miłośników starożytności, ulokowana w PTTK. Prawda, w ostatnich latach obserwuje się większe zainteresowanie obiektami dawnej architektury — przede wszystkim pałacami i zamkami — ze strony dużych zakładów produkcyjnych. Cieszy to, ale wcale nie obiecuje rozwikłania kwestii. Ostatecznie mamy w kraju około 40 tysięcy takich zabytków.

O jaki jednak system chodzi? Ba! Gdybym wiedział dokładnie, byłbym zapewne doradcą samego Generalnego Konserwatora Zabytków. Wydaje się przecież, że podłożem owego systemu powinno być planowanie gospodarcze. Obecnie w planowaniu tego rodzaju ochrona zabytków nie ma konkretnego miejsca, mimo że w grę wchodzi całe zespoły domów mieszkalnych i użyteczności publicznej, a więc spory majątek, istotna wartość polityki społecznej. W rezultacie wszelkie programowanie konserwatorskie jest przede wszystkim wykazem potrzeb, niechęci i środków, pobożnych życzeń i nadziei związanych z ratowaniem tradycji materialnej. Jest także okazją do znacznych zarobków, które wpadają do kieszeni różnym zespołom projektowym bez względu na fakt, czy opracowanie zostanie wykorzystane, czy też nie. Dopowiedzieć trzeba, że z reguły programy takie realizowane są tylko częściowo. Jakże może być inaczej, skoro ich założenia wyjściowe i tezy robocze, a więc momenty określające całokształt szczegółowych rozwiązań, pozostają nader „wolnym związkiem” z planowaniem gospodarczym regionu. Już kilka lat temu proponowano zmianę tej sytuacji, sugerując wprowadzenie ochrony zabytków w sferę wspomnianego planowania. Bezsukcesznie.

Wydaje się także, że sprawny system opiekuńczy nie obejrze się bez ustawowo zagwarantowanego uczestnictwa w jego strukturze resortu sportu i turystyki, czyli takiego

partnera, który w ochronie zabytków widziałby osobisty interes materialny. Nieśmiało gesty które od czasu do czasu czyni ów resort w kierunku starych pałaców i zamków, absolutnie nie są proporcjonalne do jego dużych możliwości: finansowych i organizacyjnych. Bywa zresztą, że te gesty nie znajdują pokrycia w praktyce, czego przykładem historia zespołu pałacowego w podlubartowskiej Kozłówce. Ile pięknych obiektów rzucono... w powietrze.

Wąbienie do sprawy resortu kultury fizycznej i turystyki usprawiedliwia charakter instytucji, nastawionej wszak na organizację takich różnych przyjemnych zajęć krajoznawczych i wypoczynkowych, ćwiczących dłoń i serce. A tylko na obszarze dawnego województwa lubelskiego istnieje 37 zespołów pałacowych, które po odpowiednim zagospodarowaniu mogłyby służyć jako ośrodki rekreacyjne. Istnieją poza tym 23 zabytki architektury i budownictwa, w których nie tylko można, ale należałoby zlokalizować usługi turystyczne...

Budowanie nowego i pełnego systemu opieki nad zabytkami jest w gruncie rzeczy poszukiwaniem formy wykorzystania obiektów budownictwa i architektury, poszukiwaniem użytkownika, dla którego ten cały interes byłby opłacalny. Jeśli go nie znajdziemy, sporą część owych „ochronnych” miliardów państwowych przyjdzie spisać na straty. Wiadomo jednak, że stare pałace, dworki, wiatraki, zajazdy i zamki wymagają szczególnie pieczołowitej i systematycznej opieki konserwatorskiej ze strony gospodarzy, a poza tym mają specyficzną funkcjonalność, nierozdzielnie sprzeczną z wymaganiami współczesnego życia. Więc nie można chyba liczyć na dobrowolne i odpowiednio szerokie przystąpienie do sprawy przez instytucje spoza służby konserwatorskiej. Pozostaje droga ustawowa, zachęta przy pomocy dekretu, albo powołanie specjalnego przedsiębiorstwa handlowej eksploatacji zabytków polskiej architektury — podległego Ministerstwu Kultury i Sztu-

CZŁOWIECZA STAROŚĆ

Za to szeregowi niektórych rodzajów broni nosili saperki — zgrabne i kształtne. W tym też bodajże czasie dano wojsku na zimę czapki-uszatki.

W ubiorze letnim wprowadzono dla szeregowych kurtki z kołnierząmi zapinanymi pod szyję, ale wykładanymi (zamiast stojąco-wykładanych) z czterema bodajże tylko guzikami na piersiach. Spodnie szeregowych (do spinaczy, latem płóciennych, zimą sukiennych) były wówczas nadmiernie szerokie i długie, co przy spinaczach nie wyglądało najlepiej, zwłaszcza w zestawieniu z długimi płaszczami (które dopiero po 1956 roku wojsko zaczęło skracać).

Osobny rozdział to historia munduru lotniczego, który po wojnie noszono zasadniczo według przepisu z roku 1937. W roku 1949 zachowano dla lotników szary mundur, zmieniono im jednak orla, z którego usunięto usarskie skrzydła, a za to pod tarczą amazońską dodano dwie girlandy liści lauru w kolorze złotym, co w rodzaju oznak oficerów Marynarki Wojennej.

Oznaki stopni oficerskich w lotnictwie umieszczano wtedy na rękawach, po marynarsku — złote paski, ale bez charakterystycznej marynarskiej pętli. Z oficerskich kurtek w związku z tym usunięto naramienniki. Szeregowym dano do płaszczy (na krótko zresztą) sztywne czarne „pagony”.

Skoro mowa o reformach roku 1949, trzeba też wspomnieć o mundurach milicji — stalowych i granatowych (dla oficerów aksamit) otokami i patkami na kołnierzach ozdobionymi emblematami noszonymi do dziś. Mundur ten zastąpił noszony uprzednio — właściwie wojskowy, tyle że milicjanci nosili okrągłe czapki z granatowymi otokami, a na kołnierzach granatowe trójkątne patki. Ubiór ten, nie tak może estetyczny jak obecny, ale chyba bardziej praktyczny, obowiązywał do roku 1955, kiedy wprowadzono kolory noszone przez milicję do dziś. Używano tylko wówczas w milicji mundurów innego nieco niż dziś kroju, z malinowymi wypustkami, używano też niekiedy kurtek z kołnierzami pod szyję. Czapki noszono ze srebrnymi podpinkami i galonami oficerskimi na otokach. Ponadto część milicji (bodajże kolejowa?) nosiła przez krótki czas malinowe otoki.

Rok 1952 przyniósł w wojsku kolejne zmiany: ujednolicono mundur wszystkich rodzajów broni i wojsk (oprócz marynarki), znosząc szary ubiór pancerniaków (którzy na jakiś jeszcze czas zachowali czarne otoki) i lotnictwa. Lotnicy dostali wówczas

niebieskie otoki i niebieskie patki na kołnierzach, z emblematami noszonymi do dziś. Rzecz charakterystyczna: oficerowie lotnictwa zaczęli wówczas nosić wysokie buty (te z „harmonijkami”), a szeregowi niektórych lotniczych specjalności — saperki.

W tym bodajże roku wprowadzono nowe oznaki stopni oficerów młodszych (do kapitana włącznie) — takie, jakie do dziś obowiązują, z tą różnicą, że chorąży, najmłodszy wtedy w hierarchii oficer nosił jedną gwiazdkę zamiast dotychczasowej (od 1943) gwiazdki z paskiem wzdłuż naramiennika.

Wprowadzono też paradne mundury oficerskie: dotychczasowe kurtki z kołnierzami pod szyję i wężkami, pasy srebrzyste o klamrach z godłem Państwa w wieńcu z liści dębowych i granatowe spodnie z czerwonymi wypustkami (dla lotników z niebieskimi). Przez krótki czas przed rokiem 1958 noszono też białą letnią kurtkę oficerską, ze stojącym, półokrągłym kołnierzem.

Po październiku 1956 roku, po wielu zmianach jakie zaszły w wojsku, rozpoczęto też dyskusję nad zmianami umundurowania. Wypowiadało się wielu publicystów (także cywilów), proponowano różne wzory i typy umundurowania, urządzano pokazy mody wojskowej. Mówiło się i pisało o powrocie sztywnych rogatywek i „oficerskich” wysokich butów.

Dopiero jednak z początkiem roku 1960 zrealizowano pierwszy etap nowej reformy: zmianę mundurów wyjściowych dla wojskowych zawodowych, którym dano dwurzędowe płaszcze, kurtki tylko do krawatów, bez kolorowych patek, jedynie z emblematami broni i służb na kołnierzach. Wprowadzono wówczas zwyczaj chodzenia poza służbą bez pasów i tylko w długich spodniach. Nowością był też brązowy kolor wojskowego obuwia.

Z czapek usunięto wtedy kolorowe otoki, wprowadzając oliwkowe taśmy (zostawiając granatowe KBW, zielone WOP i żółte I DP oraz białe WSW) dano haftowane orły i brązowe daszki z galonami oficerskimi (noszonymi dotąd na otokach).

Latami następne przyniosły dalsze zmiany, rozciągnięcie nowych przepisów na szeregowych służby czynnej, wprowadzenie stroju polowego, specjalnego stroju dla wojsk desantowych. Zaczęto też nosić berety: najpierw czerwone, potem niebieskie a wreszcie i czarne (przez rok czy dwa niebieskie be-

rety nosiła też latem milicja, a przez kilka lat khaki — z bardzo ładnymi orłami haftowanymi szarą nicią (dziewczęta ze Studium Wojskowego).

Był też krótki okres, kiedy wojsko (a także milicja) nosiło latem zamiast kurtek zielone koszule z kieszeniami — szkoda, że zwyczaj ten zarzucono. Wprowadzono też z czasem letnie wiatrówki dla wojskowych zawodowych, a przed kilku laty letnie mundury z tropiku, z kieszeniami z kontrafalda (noszone zawsze przez milicjantów i kadre w lotnictwie).

Do stroju paradnego (pozbawionego wysokich kołnierzy, pasów i granatowych spodni) przywrócono akselbanty — początkowo dla oficerów, potem i dla podoficerów (dla szeregowych sznury specjalne na lewym ramieniu).

Szereg zmian zanotować można jeżeli chodzi o letnie płaszcze wojskowych zawodowych, które w ciągu ostatnich lat piętnastu szyto z różnych materiałów (nawet z ortalionu) i różnego kroju. Ostatnio oprócz płaszczy wprowadzono również bardzo „twarzowe” peleryny przeciwdeszczowe z kapturami (może mi który z panów oficerów taki odstąpi?).

Wcześniej jeszcze, w roku 1959, przywrócono tradycyjne — w Polsce tradycja rodzi się szybko i rok 1937 to już daleka przeszłość — mundury lotnikom. Pamiętam wrażenie, jakie wywołał na mnie spotkany oficer lotnictwa (pierwszy w nowym mundurze) w paradnym stroju: bajecznie skrojony mundur (oficer był szczupły i wysoki) biała koszula „noniron”, czarny krawat z heruty, akselbanty, kordzik, białe rękawiczki — szyki Więcej! Wersal! Do tego oczywiście czapka z tradycyjnym lotniczym orłem.

Oczywiście strój polowy to całkiem co innego, choć i tu paść może pytanie: dlaczego nie jest on w kolorze khaki? Czemu czapki polowe szyje się z wzorzystej tkaniny „moro”?

Chciałoby się też nieco barwniej i tradycyjniej „narysować” mundur parady (galowy): np. dać wysokie kołnierze z kolorowymi patkami i wężkami, przywrócić paradne pasy i granatowe spodnie (szasery).

Poza tym, dlaczego poza służbą wojskową nie mieliby nosić białych koszul i czarnego obuwia? To jednak wygląda sztywniej.

ZABYTKÓW

Ireneusz J. Kamiński

ki, lecz nadrzędnego w stosunku do PKZ. Chodziłoby tu o takie obiekty, które można by wykorzystać jako hotele, zajazdy, domy wczasowe o specjalnym profilu, domy pracy twórczej, muzea wnętrz, ośrodki sportowe.

Zabytki przypominają starych ludzi: po przejściu na emeryturę szybko znikają z powierzchni ziemi. Najdoskonalsza kuracja geriatryczna nie zastąpi społecznej aktywności. Tymczasem w naszych działaniach obliczonych na ratowanie zabytków zdajemy się bardziej ufać środkom farmakologicznym i gimnastyce szwedzkiej przy oknach zamkniętych. Albo z konieczności bardziej ufamy. Stąd kłopoty.

Spełnienie wymienionych warunków racjonalnego systemu ochrony zabytków nie przyniesie jednak oczekiwanych skutków, jeśli raz na zawsze nie rozwiążemy pewnego niezwykle drażliwego problemu. Chodzi o rejestr zabytków architektury i budownictwa w Polsce, chodzi o prawomocność — formalną i moralną — owego dokumentu.

Obejmuje on niemal 40 tysięcy obiektów, a przynajmniej obejmował 5 lat temu, grupując je hierarchicznie w kilku klasach: od zerowej do czwartej (najniższej). Rejestr ten powstał na podstawie inwentaryzacji przeprowadzonej kilkanaście lat temu m. in. przez historyków sztuki i studentów. Za robotę płacono od „lebka”, czyli od zabytkowej sztuki, więc młodzież studentka w zrozumiałej intencji mnożenia skromnego majątku osobistego zaczęła mnożyć... zabytki. Za godne uwagi i ochrony uznawano bezstylowe oficyny, które na dodatek nie „uczestniczyły” w jakiejś ważnej historii. Były stare (bo zaniedbane i zdewastowane) i to niejednokrotnie wystarczało do uznania ich za zabytek. Tym sposobem dorobiliśmy się pokaźnej listy wartości, które za wszelką cenę należy chronić przed zniszczeniem. Nieliczna kadra ówczesnej służby konserwatorskiej nie była w stanie zweryfikować studentkich ustaleń, nikt jej zresztą o to nie prosił. Przed podziałem na cztery wo-

jewództwa Lubelszczyzna posiadała niemal 2000 obiektów architektury i budownictwa, 30 chronionych zespołów miejskich, 55 parków i ogrodów — aby przynajmniej raz na trzy lata dotrzeć do poszczególnych zabytków, konserwator wojewódzki powinien dysponować grupą kilkunastu ludzi oraz transportem. Tymczasem przez wiele lat działał w samotności, w najlepszym wypadku z pomocą dwojga osób.

Taki zatem mamy rejestr. Mamy poza tym „atmosferkę” spowodowaną niszczeniem faktycznych wartości historycznych i estetycznych. Dewastuje je ludzka głupota, ograniczenie, ciasny pragmatyzm, beznadziejnie naiwne pojmowanie idei ochrony zabytków. W takim klimacie łatwo o gwałtowne reakcje z byle powodu, na przykład z powodu walącej się obory, która drogą przypadku trafiła do rejestru, choć w rzeczywistości powinna trafić pod kilof chłoporobotnika. Najmocniej w takim wypadku gardlują dziennikarze (szczególnie zaś nasze sufrażystki pióra), wspierani przez doktrynerskich historyków — teoretyków sztuki. Ich koledzy, ci mocniej związani z praktyką konserwatorską, na ogół milczą powściągliwie, albowiem wiedzą doskonale, że podłoże dramatu jest fikcyjne. Bardzo przecież rzadko „wychylają się” publicznie ze swoimi wątpliwościami. Boją się opinii „niszczycieli zabytków”, która w takim klimacie łączno mogłaby do nich przylgnąć, niszczyć cywilnie i realnie.

Rejestr zabytków w Polsce wymaga weryfikacji. Należy wykreślić zeń to, co nie przedstawia wartości: historycznej, estetycznej, społecznej i kulturowej. Takich obiektów będzie prawdopodobnie sporo. Odciażenie listy powinno przy tym spowodować koncentrację robót konserwatorskich na rzeczywiście wartościowych zabytkach. Nigdy, powtarzam, nigdy nie uda się zapewnić należytej opieki 40 czy 38 tysiącom dworców, pałaców, zamków, chałup, zespołów urbanistycznych. Wyciągnijmy wnioski z lekcji Ka-

zimierza. Ten świetny zabytek uzyskał wszelkie możliwości zachowania i utrwalenia swej autentycznie niepowtarzalnej urody. Ryszard Wójcik, jeszcze jako wojewoda lubelski, osobiście wspierał poczynania konserwatora kazimierskiego. Z pomocą spieszyło Ministerstwo Kultury i Sztuki i wojewódzki konserwator zabytków w Lublinie. Jerzy Żurawski zmontował wyjątkowo liczną ekipę współpracowników, liczącą bodaj 14 osób. Żadne z polskich miast historycznych tej wielkości, a nawet znacznie większych, nie posiada takiej służby konserwatorskiej. Wszystko zatem powinno iść jak z płatka...

Powinno. W rzeczywistości J. Żurawski nadal ma kłopoty. Oto grupa remontowo-budowlana gospodarki komunalnej, powołana specjalnie dla uzdrowienia zabytków Kazimierza, pracuje poza miastem, na innych budowach, które z punktu widzenia doraźnych potrzeb życiowych okazały się najważniejsze.

Owszem, postępując się straszakiem wysokich interwencji można dzielnych murarzy przywrócić miastu. Nie podważajmy jednak ciągłej aktualności priorytetu potrzeb egzystencjalnych, niejako biologicznych społeczeństwa znajdującego się dopiero na dorobku. Taka jest prawda, twarda prawda. Można uderzać w nią z pozycji absolutyzmu ducha, z pozycji obrońców tradycji za wszelką cenę. Nawet tego nie odczuje. Ochrona zabytków pozostawiona konserwatorom i historykom sztuki ujawniła swoją anemię. Opieka nad dawną architekturą sprzężona z całokształtem życia społeczno-gospodarczego gwarantuje znacznie lepsze wyniki, ale zmusza do realizmu i zapomnienia o mitach.

Takie postawienie sprawy zawiera potencjalne niebezpieczeństwo: różni prężni ludzie w mniejszych miastach i osadach mogą już teraz, na własną rękę, próbować „weryfikować” zabytki — powołując się na ten chociażby artykuł. Powiedzmy zatem jednoznacznie, że dotychczasowy rejestr jest ciągle ważnym dokumentem prawnym, że jakiegokolwiek kwestionowanie ujętych w nim obiektów zupełnie nie wchodzi w rachubę... Chciałoby się dodać: „i podlega karze w wypadku materializacji”, ale słowa te jakoś nie przechodzą przez gardło. Ilu ludzi ukarano w Polsce za niszczenie zabytków, czyli majątku narodowego? Jednego, dzielsięciu?

Janusz Olczak

WIDZENIE

Rzeczywiście zobaczyłem go na
cały kwadrans
jak się ST A Ł ujęty za kraty
w kwadrat
a potem wyciągając ręce w bok
poniósł ten krzyż zrobisz
krok
sam byłem zbójem a gdzie drugi
to chyba cień co zwił z mych
nóg
zawsze gotowy do usługi
nawet w tym rymie pełen trwóg

ANGAŻ DLA NOWEGO DANTEGO

Wodę Lety zatruto ściekami
z pobliskich zakładów
i głębinowe ryby
wypląnęły na jawo
symbolika ukazała się
brzuchami do góry
odtąd nasze zapomnienie
ma smak benzyny
która zatrzuwa nawet gorycz
kiedy ktoś równie nieuważny po
śmierci
jak wszyscy za żywota
strząśnie zapalną
wtedy droga od piekieł
zjeży się jeszcze jedną
zaporą ogniową
rzeka płonie
płoną stojące
włosy na głowie
nikt nie chce umierać
a przecież trzeba będzie
przewieźć tędy nowego Dantego

KULTURA

W NOWYCH GRANICACH

Dokończenie ze str. 1

rozmawiali na ten temat. Widzi mi się umieszczenie w przyszłości tej placówki w historycznym teatrze Bogusławskiego, czyli w dzisiejszym kinie „Staromiejskim”, oczywiście po wykupieniu obiektu z rąk prywatnych i jego odrestaurowaniu.

Okazuje się jednak, że ze spraw lokalowych najpilniejsza do rozwiązania jest nowa sala dla operetki. Prawdę powiedziawszy ta w budynku wojskowym wciąż jest tylko salą zastępczą, nie przystosowaną do tego rodzaju imprez. Ma już ponad czterdzieści lat i gwałtownie woła o kapitalny remont, co potrwa jakieś trzy lata. W tak dramatycznej sytuacji postanowiono przystosować do potrzeb operetki salę w MDK przy ul. Pstrowskiego poprzez jej przebudowę i rozbudowę, są już opracowane dwa warianty zmian. Prawda, że projekt ten nie wszystkim się podoba, ale kto podsunie lepszy i bardziej realny?

Budowa nowego budynku dla teatru dramatycznego jak dotychczas rzeczywiście posuwa się naprzód w dość ślamazarnym tempie — o powodach mieliśmy tu różne zdania. W każdym razie faktem jest, że dokumentacja już „spływa” bardziej regularnie, a w budżetach na lata 1976—1980 widnieje niebagatelna suma 140 milionów złotych. W nowym, znacznie powiększonym w stosunku do pierwotnych założeń budynku znajdzie się także filharmonia z własną salą i własnym zapleczem.

I jeszcze o sprawach inwestycyjnych. Właśnie rozpoczęła się budowa liceum sztuk plastycznych przy ul. Nadbystrzyckiej, ruszą pierwsze prace na nowym terenie, przyznany na Sławinku Muzeum Wsi Lubelskiej. Poprzednia lokalizacja na Kalinowszczyźnie, chociażby ze względu na konieczność przekwaterowania około 200 rodzin, nie miała szans na realizację w dającej się określić perspektywie. Dworek Pola pozostanie na swoim miejscu jako muzeum biograficzne. Jest już decyzja o utworzeniu w Łęcznej Muzeum Lubelskiego Zagłębia Węglowego, a w Kazimierzu Muzeum Wisły.

Największe zadania stoją przed Wojewódzkim Domem Kultury. Nowy jego statut powiada, iż jest on „instytucją programowania, metodyki i organizacji społecznego uczestnictwa w kulturze”, a celem nadrzędnym jego działalności „rozwój i kształtowanie potrzeb i aspiracji kulturalnych oraz aktywnych postaw społecznych mieszkańców województwa”. W tłumaczeniu na język konkretny oznacza to m. in. opracowywanie programów działalności w placówkach kulturalno-oświatowych i w amatorskim ruchu artystycznym, nadzór nad działalnością merytoryczną domów kultury, klubów i świetlic państwowych, związkowych, spółdzielczych i wszelkich innych, kształtowanie sieci, wyposażenie i organizacja placówek, kształcenie zawodowe pracowników tych placówek jak również aktywność kulturalnego, organizowanie imprez o różnym zasięgu terytorialnym. Ministerstwo Kultury i Sztuki zaleca, aby WDK prowadził także działalność środowiskową, ale konkretne warunki lokalowe lubelskiego WDK taką działalność raczej wykluczają.

W dawnych powiatowych domach kultury tworzą się filie WDK — w Lublinie, Kraśniku, Lubartowie, Opolu, Puławach i Rykach. Ich zadaniem jest prowadzenie gabinetów metodycznych, udzielanie pomocy placówkom kulturalnym, współpraca w doskonaleniu kadr i aktywność społeczną, jak również opracowywanie programów działania placówek k.o. i zespołów amatorskich. (Tylko nazwa nie podoba się dziennikarzom: Międzygminne Ośrodki Informacji i Instruktażu. Kto wymyśli lepszą?)

Podobne, chociaż nieco szersze w praktyce zadania będą miały miejskie domy kultury, działające w Lublinie, Puławach, Swidniku i Kraśniku, ale będą one podlegały naczelnikom tych miast (w Lublinie prezydentowi miasta). Właściwie zaś wydziałom kultury urzędów tych miast.

Obecne województwo lubelskie ma 396 placówek upowszechniania kultury. Wiele z nich wiodzie dość walty żywoty, a ich rozmieszczenie jest bardzo nierównomierne. Pytam więc dyrektora:

— Ponad połowa gmin nie posiada ośrodków kultury. Co-będzie się tam działo?

— Myślę, że trzeba co prędzej opracować program tworzenia GOK-ów lub wiejskich domów kultury w tych gminach. To potrwa, bo przecież na inwestycje państwowe nie można liczyć w najbliższej przyszłości. Aby ten okres oczekiwania możliwie najbardziej skrócić, trzeba oprzeć się o czyny społeczne — zakładów pracy, różnych instytucji, ludności. Nie zawsze musi to być nowy budynek, często wystarczy adaptacja już istniejącego. W tych rejonach liczymy bardzo na szkoły gminne. Chciałbym jeszcze dodać, że prawie co trzecia gmina nie posiada żadnego amatorskiego zespołu artystycznego. Liczymy tu na organizacje młodzieżowe oraz stowarzyszenia społeczno-kulturalne — jedne i drugie bardzo chcemy wciągnąć mocniej w krąg spraw kulturalnych. Z obustronnym przecież zyskiem.

Tu zaraz wylania się problem kadry. W jednostkach resortu kultury pracuje obecnie w województwie lubelskim prawie 1700 osób. W najbliższych latach do ośrodków wiejskich trzeba będzie skierować przynajmniej sto osób. Chodzi o to, aby ci ludzie posiadali z zasady wyższe wykształcenie — w tej chwili posiada je tylko co czwarty, czego przecież nie można uznać za optimum. Niedyskretne spojrzenie w jedną z tabel finansowych ujawnia mi, że przy przewidywanym wzroście kadry do roku 1980 o 33 procent — fundusz płac zwiększy się o 91 procent, co świadczy chyba wymownie o coraz większym docenianiu tej sfery naszej działalności, a także realnych perspektywach dla tych, którzy będą posiadali odpowiednio kwalifikacje i wykazali się rzetelną pracą.

To wszystko, o czym mówimy, nie jest tylko pobożnym życzeniem dyrektora czy jego współpracowników. Ujęte to zostało w programie rozwoju kultury w województwie do roku 1980. Warto przypomnieć, że przed trzema laty opracowano także program, ale dla województwa w dawnych granicach i z perspektywą aż do roku 1990. Ile z tego programu zostało zrealizowane do czasu reorganizacji administracji terenowej, trudno dziś jeszcze powiedzieć. Chociaż nie ulega wątpliwości, że nastąpiło w tym czasie duże ożywienie w wielu dziedzinach, żeby wspomnieć chociaż Panoramy Trzydziestolecia, kilka plenerów malarskich czy cykl organizowanych przy współpracy „Sztandaru Ludu” koncertów pod hasłem „Ludziom dobrej roboty”.

Program dla nowego województwa trafił już do placówek w terenie. Sięga „tylko” do roku 1980, ale jest za to bardziej konkretny. Zmieścił się na dziesięciu stronach maszynopisu, bo wyrzucono z niego ogólniki. Placówkom terenowym raczej tylko wskazuje kierunki działania, pozostawiając margines należy miejscowym możliwościom i potrzebom.

Takim podstawowym kierunkiem, podkreśla w rozmowie dyrektor, jest intensyfikacja pracy ideowo-wychowawczej. Chodzi o to, aby wysoki poziom artystyczny, także i programów rozrywkowych, łączył się z treściami ideowo-politycznymi, aby rodziły się realne korzyści osobiste i społeczne. Chodzi także o jeszcze ściślejszy związek środowisk twórczych i placówek kulturalnych z zakładami pracy. Jedną z takich dróg wiodzie poprzez związki zawodowe. Dużo tu już zrobiono, ale wciąż trzeba szukać nowych form. Sprawa to trudna, ale bardzo ważna.

— Nie będziemy żalować grosza — potwierdza raz jeszcze dyrektor Białas — na popieranie dobrych inicjatyw. Zależy nam przede wszystkim na tym, co nazwałbym integracją programową. Abyśmy odczytali się mówić: to moje poletko, to twoje, ja mam swój program, ty swój. Nie, powinniśmy mieć jeden wspólny program działania — przedsiębiorstwa kulturalne, działacze, stowarzyszenia twórcze, związki zawodowe, organizacje młodzieżowe i wszyscy inni. Wspólny, rozumiem nie jako ustalenie wspólnego kalendarzyka, ale jako uzupełnianie się, działanie w jednym celu, wzajemne pomaganie sobie.

— W przeszłości próbowano kilkakrotnie zebrać do wspólnej kasy środki finansowe, przeznaczone na kulturę w różnych jednostkach. Wyniki zawsze były mizerne.

— Nie podejmujemy takiej akcji. Chodzi nam tylko o to, aby te pieniądze były wydawane na działania rzeczywiście potrzebne, aby korzyść była największa. Temu celowi ma także służyć owa integracja programowa, do której chciałbym możliwie najprędzej doprowadzić.

Tu kończy się relacja z rozmowy z dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Po niej czytam dokładnie nowy program i trochę nad nim rozmyślam.

A więc biblioteki publiczne. Korzysta z nich tylko co piąty mieszkaniec województwa. Myślę, że jednym z powodów jest fakt wciąż skromnego zakupu nowości. Od wielu lat jakoś nie możemy wy-



Na placu budowy nowego teatru dramatycznego

Fot. J. Polski

dostać się tu z krajowego ogona. W roku ub. przeciętnie w kraju na zakup książek biblioteki wydały 4,48 zł na jednego mieszkańca, my tylko 3,72 zł. Różnica, biorąc pod uwagę warunki społeczne aglomeracji miejskich Lublina czy Puław nieprzyjemnie duża. Czas, aby naczelnicy hojniej sięgnęli do gminnych kas. O ciężkiej, nieraz fatalnej sytuacji lokalowej wielu bibliotek w terenie pisałyśmy już wielokrotnie. I czy wciąż skutek będzie mizerny?

Wygląda na to, że podjęte zostaną realne starania o utworzenie w Lublinie filii Wyższej Szkoły Muzycznej, o co bezpośrednio zainteresowani dopominają się od lat. Kazimierz zaś ma jeszcze dwie szanse: wykorzystanie zabytkowych organów w corocznej imprezie ogólnopolskiej oraz coraz bardziej realne utworzenie w tym mieście domu pracy twórczej dla artystów.

Wojewódzki Zarząd Kin za kilka miesięcy otrzyma piękną bazę, ale czy widzowie doczekają się modernizacji tak zabytkowych niemal kin, jak „Wyzwolenie” czy „Robotnik”? I czy doprawdy nie stać nas na uruchomienie nowego kina letniego — po gwałtownym zlikwidowaniu starego?

Aha — dyr. Białas przyznał że przy opracowywaniu programu kulturalnego na lata 1976—1980 w Wydziale prochu nie wymyślono. To i dobrze. Przedstawiony tu w skrócie program traktować więc należy, jak i cały plan przyszłej pięcioletki w ogóle, jako plan otwarty. To znaczy, że dobre wyniki naszej pracy, przede wszystkim w gospodarce narodowej będą mogły ten program zwiększać o nowe środki, a także o nowe cele. Mamy więc przed sobą jasne zadanie: nie tylko postulować te nowe cele, ale przede wszystkim dbać o to, aby wypracować środki na ich realizację. Bo budżet, tak centralny jak terenowy, nie tworzy się z postulatów.

Jerzy Dostatni

Jan Górec-Rosiński

ŚMIERĆ DON JUANA

Nikt serc nie liczył
nikt lez nie rachował
nikt nie żądał zemsty
twego komandora
umarłeś po prostu
kiedy pierwsza czułość
stwardniała w sercu
jak ostrze sztyletu

Kamena str. 6

PO BALU

Tańczyła polka poleczkę
obertas obertasa
i cienie nasze tańczyły
w objęciach róży co rosę
nocy życzliwej zbierała
Potem bal się zakończył
kubek jak rzeka pełna
zapomniał o pragnieniu
I było niepamiętanie
luster strumieni kłosów
rosa ła z oczu boga
róży zamknęła powieki
gdy przeszły wodospady
na lawce dnem do góry
umierał samotny kapelusz

Otworzyły się twoje kłosa
paki przyszyły do dtoni
cisza śpiewała ptaki
łan kołysał brzemienność
zanurzyły się moje rzeki
w czułości twoich ławic
wybuchnęły moje wulkany
w twej obiecanej ziemi
zakwitły moje drzewa
w bgradzie twoich oczu
posypały się syte ziarna
w bruzdy w żarna w zęby
kielki bezbronne pisklęta
kwiliły szukając rosy

W ODRÓŻNIENIU od jubileuszy indywidualnych, w których największą solenną nie zdoła przezwyciężyć pewnej dozy melancholii, obchody wieloletni placówek kulturalnych z reguły cechuje krępujący nastrój otwarcia nowych perspektyw. Za to chyba tak lubimy uroczystości jubileuszowe teatrów, gdzie zazwyczaj zespołowa imaginacja łatwo wywołuje promieniste wizje przyszłości. Jednak i tu daje się zaobserwować pewną gradację emocjonalną. Oto, na przykład, jubileusz XXX-lecia obchodzony zeszłego roku w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy odznaczał się niewątpliwie grandezją należąca pierwszemu teatrowi odrodzonej Polski, brakowało mu natomiast zwykłego ludzkiego ciepła, jakie emanuje, powiedzmy, ze zgodnego życia rodziny. A nawet było trochę gorzkich żalów wśród pionierów — entuzjastów z lat 44 — 45, odsuniętych nieco na dalszy plan. Bo w tym teatrze, mającym do rozporządzenia w ciągu całego trzydziestolecia jeden z najlepszych zespołów polskich i okresowo — bardzo wysokie aspiracje artystyczne, zdarzały się, zaczynając od połowy lat sześćdziesiątych złe passy, kiedy egoizmem jednostek, osobliwy sojusz snobizmu z merkantylizmem, przesłaniały zarówno dobro kolektywu teatralnego, jak obowiązek niesienia społeczeństwu korzyści intelektualnej i moralnej.

Niemniej, zgodnie z istotną cechą jubileuszy teatralnych, o której wyżej napomknęłam, trzydziestolecie Teatru im. J. Osterwy otworzyło przed nim nowe perspektywy. Jakże? To już się chyba niebawem okaże. Zbliża się, mam wrażenie, kres zbyt długiej rozterki, niezawinionej zresztą przez zespół teatralny. A więc jeszcze trochę cierpliwości.

Na razie pragnę opowiedzieć o innym jubileuszu, napawającym prawdziwą otuchą.

Na 30-lecie teatru dramatycznego w Jeleniej Górze, połączone z VI Jeleniogórskimi Spotkaniami Teatralnymi, pojechałam w przekonaniu, że da on dużą satysfakcję nie tylko solenizantom, ale i obserwatorom. Spostrzeżenia poczynione wiosną zeszłego roku, przy okazji uroczystości nadania teatrowi imienia Cypriana Norwida oraz święta 60-lecia pracy Zuzanny Łozińskiej na scenach polskich pozwalały wierzyć w talent organizacyjny dyrektora Aliny Obidniak, zmierzającej solidarnie ze swym zastępcą, Henrykiem Szoką i kierownikiem literackim, Januszem Deglerem, do podniesienia rangi odbiorczej widza.

Wśród dokumentacji dostarczonej dziennikarzom przybyłym na spotkanie znajduje się kronika teatru jeleniogórskiego za okres od roku 1945 aż po chwilę bieżącą. Nie trzeba być wyjątkowo sentymentalnym, by wzruszyć się czołową wzmianką owej kroniki. Cytuję:

Grupa członków Studium Dramatycznego przy Teatrze Ziemi Rzeszowskiej (...) postanowiła wyjechać na Ziemię Zachodnią, aby założyć tam własny teatr... Pierwszym bodźcem do tego kroku była świadomość (...) że należy jak najprędzej nieść polską kulturę tam, gdzie przez tyle lat obcy najeżdża wszelkimi środkami kulturę tępił.

Proszę państwa, to nie była drętwa mowa. 27 lipca 45 r. tzw. Grupa Operacyjna rzeszowskich ludzi teatru dotarła do Jeleniej Góry po podróży pełnej niebezpieczeństw, ostrzelana pod Koźlem. Do tej grupy należał m. in. Adam Hanuszkiewicz i kronika teatralna skrupulatnie przechowała fakt, że grał już 23 sierpnia tegoż roku Wacława w „Zemście”. Toteż entuzjastyczne owacje urządzone mu w Teatrze im. Cypriana Norwida na inauguracyjnym spektaklu jubileuszowym były podwójnie zasłużone. Wystąpił tu po trzydziestu latach gościnnie jako narrator we własnej, szeroko znanej, inscenizacji „Beniowskiego”, która, dostosowana do skromniejszych możliwości młodego zespołu, wypadła wszakże całkiem reprezentacyjnie. Już sam udział Hanuszkiewicza w spektaklu, łącznie z jego sztuką reżyserską pozwolił utrzymać na scenie jeleniogórskiej ton nadany pierwotnie przez Mistrza przedstawieniu warszawskiemu, specyficznie atrakcyjny ton zarówno w passusach poważnych, jak ludycznych. Myślę zatem, że Jerzy Góralczyk, pokazany u nas na zdjęciu, dobrze daje sobie radę z rolą Beniowskiego, którą na odświeżonej premierze zagrał dla większego splendoru Daniel Olbrychski.

Spośród wielu bardzo szczęśliwych posunięć dyrekcji Aliny Obidniak wymieniamy przynajmniej nawiązanie efektywnych kontaktów z wybitnymi reżyserami. O Hanuszkiewiczu już mówiliśmy, ale przewiduje się rów-

nież „Sen nocy letniej” i „Wariatkę z Chaillet” w reżyserii Henryka Tomaszewskiego (z Zuzanną Łozińską w roli głównej). Poza tym „Tak tu cicho o zmierzchu” Wasilijewa w reżyserii Juliusza Burskiego wg inscenizacji Lubimowa. Ważna też jest współpraca z Krzysztofem Pankiewiczem, choć oświadczenie ceniąc wysoko jego talent scenograficzny mieszałam zastrzeżenia do jego koncepcji reżyserskich. Tak czy inaczej, to, co robi w teatrach Krzysztof Pankiewicz, daje się zakwalifikować jako przyszłowiwe drożdże i ostatecznie nie na próżno założyła dyr. Obidniak scenę studyjną, gdzie zasadniczo wszystko jest dozwolone, acz nie wszystko musi się udawać.

nie wspaniałymi prezentacjami), zaś widziane obecnie przeze mnie po raz pierwszy „Odejście Fausta” muszą ze wstydem skwitować przyznaniem się, że w tym wypadku intencje Tomaszewskiego do mnie jakoś nie dotarły. Skłonna jestem uznać to za moją porażkę, składając ją na karb niedostatecznej koncentracji uwagi: (ostatni już spektakl oglądany podczas sesji jeleniogórskiej — bodaj jedenasty!)

Najbardziej udaną pozycją sceny studyjnej Teatru im. C. Norwida był spektakl „Lalka” Herberta. Utwór znany od 1961 r., kiedy wydrukował go „Dialog”. Jeśli rozpatrywać rzecz na tle zasadniczych założeń filozoficznych pisarza, zgodzić się wypadnie z przy-

chow. Rację też chyba miał Jan Bańucha ograniczając oprawę scenograficzną do skrzynek po piwie — chwyt wprawdzie wyeksploatowany, choćby w „Hyde-Parku”, ale zabezpieczający przed pospolitym naturalizmem knajpy. Nobilitym też akcentem staje się w „Stodole” także cokolwiek maeterlinckowska postać Babki (z jej niemającym „nie ino stęć i ślozy”), subtelnie zarysowana przez Zuzannę Łozińską. Wiele poezji ma „Ubiwanie do snu” i finał: te spadające z góry kwiatki. Ostatecznie w obrzędowości ludowej, w trwałej mocy tradycji — jest sporo optymizmu.

Z kolei o złej tradycji okrucieństwa w społeczności ludzkiej miał chyba mówić spektakl Teatru im. L. Kruczkowskiego z Zielonej Góry „Edward II”, gdzie tekst Marlowe’a został grubo przepracowany. Założenie reżysera, Ryszarda Zuromskiego, odczytuję z zamieszczonego w programie jego artykułu „Czasy nasze są równie okrutne...” Czyli chodziłoby o „odklamanie”. Ale tuż obok znajdujemy materiały jakby przeznaczone do umotywowania — pederastii a w końcu cytaty z Markiza de Sade’a całkiem dezorientują czytelnika. Nie ułatwia recepcji spektaklu i jego forma. Spotkała się ona z niemal generalną dezaprobatą krytyki. Myślę, iż najczęściej zaszkodziło jej to, co nazywałabym hiperinwencją. Może jednak przy szczegółowej analizie to i owo dałoby się wybronić. Przyznam się, że nie bez ciekawości (wprawdzie gapiowskiej natury) oczekiwałam „drzewów” wynurzających się z ogromnej kadzi, która stanowiła podstawowy element scenograficzny, a nawiasem mówiąc, zafrapowały mnie szczególnie pomysłowe narzędzia tortury i mordy, takich chyba nie podpatrzy się i w paryskim Muzeum Cluny — technika robi szybkie postępy w każdej dziedzinie.

Zawitał na jeleniogórską scenę studyjną i warszawski Teatr Ochoty. Kulturotwórcza działalność Haliny i Jana Machulskich była już wielokrotnie opisywana, wystarczy więc, gdy dodam pewną ciekawostkę. Otóż w przewiezionym do Teatru im. C. Norwida spektaklu „Montserrat” Roblesa, soba czytalam po raz pierwszy Jana Machulskiego jako despotę Isquierda. Widziałam go natomiast w roli tytułowej, kiedy sztukę wystawiał lubelski Teatr Osterwy, gdzie Machulscy pracowali przez szereg sezonów. Mimo woli nasuwa się myśl; jakże zwiolowała jest ta potrzeba aktorów przerywania się do kontrastowej roli, nieźną po to, by przezwyciężyć swe wrodzone dyspozycje!

Szczerze ucieszyła mnie możliwość obejrzenia pokazu Płockiego Ośrodka Kultury. Jego skromny na razie program pt. „Modernizm Polski” zapowiada dobry teatr zawodowy, którego Płock bardzo potrzebuje. Wręcz przeciwnie, nie uśmiecha mi się perspektywa narażania się Krzysztofowi Pankiewiczowi, z którym miałam przyjemność współpracować u progu jego kariery, lecz powiem otwarcie, iż jego interpretacja inscenizacyjna „Przy drzwiach zamkniętych” pogrążyła mnie w istne zdumienie. Pamiętam znakomity warszawski spektakl słynnej sztuki Sartre’a. Przejmował właśnie spokojem, prawie unieruchomieniem trzech postaci „zamkniętych” w pokoju. Więc po cóż ta frenezja aktorów u Pankiewicza, po co rozebranie ich do imentu (pokazywano nam takie rzeczy już na wrocławskim MFFTS i nawet w dodatku z balią wypełnioną wodą). Poza tym cui bono następuje dewiacja od zasadniczej myśli w stronę niezdrowego erotyzmu?

Z obowiązku recenzenckiego muszę jeszcze odnotować poprawne przedstawienie „Jana Macieja Karola Wścieklicy”, na które jeździliśmy do Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu (może znajdę sposobność pomówić o nim przy innych „witkacyanach”). Na miejscu zaś, w Teatrze im. Norwida Bałtycki Teatr Dramatyczny z Koszalina zademonstrował ostatniego dnia spotkań „Ogród o poranku” Andrzeja Turczyńskiego, lublinianina z pochodzenia, którego najwyraźniej krzywdę odkładając ocenę do bliżej nieokreślonego przyszłego przeglądu młodej dramaturgii.

Nie widziałam, niestety, „Parad” Potockiego, podobno przedlicznie wykonanych przez teatr wałbrzyski na zamku w Książu. Dla mnie tedy prawie szczytowo pięknym momentem spotkań był występ Marty Stebnickiej w programie „Teoria śmiechu” wg Staendhala z piosenkami Berangera.

Wielkie brawa dla Dyrekcji Teatru im. Cypriana Norwida za pełny wrzesień tydzień artystyczny.

JUBILEUSZ I INNE

Maria Bechcyc-Rudnicka

Niemalym osiągnięciem Teatru im. C. Norwida stała się też wymiana spektakli nie tylko z teatrami województwa ościennych, ale okazynie aż ze Starym Teatrem w Krakowie.

Niedawne wrześniowe prezentacje w Jeleniej Górze miały program bogatszy od zeszłorocznego. Odpowiednio do terminu „spotkania”, pokazano oprócz inscenizacji własnych — kilka gościnnych pozycji. Ścisłej mówiąc, chodziło w dużej mierze o konfrontacje scen studyjnych, co zresztą znalazło wyraz w podtytułowej zapowiedzi imprezy.

Łączonym w programie stwierdzeniem Marty Piwińskiej, że „Lalek” to sztuka o powszechności śmierci, o tym, że nikogo ona nie nobilituje i że nie ma w niej żadnego dodatkowego znaczenia. Przemijalność jest prawem natury. I w takim razie — dodam — za szczególnie trafny uznać należy wybór dla celów dowodowych — prymitywnego środowiska małomiasteczkowego, zbliżonego do wsi, gdzie od wieków traktowano śmierć jako zjawisko naturalne. Lecz zastanówmy się: wyrwane z całej struktury filozoficznej pisarstwa Zbigniewa Herberta,



Juliusz Słowacki „Beniowski”. Jerzy Góralczyk w roli tytułowej.

Fot. G. Wyszomirska

Na dużej scenie zobaczyliśmy teraz poza „Beniowskim”, monumentalny „Kram z piosenkami” i dwuteatralne przedstawienie wrocławskiego Teatru Pantomimy. Schillerowe widowisko muzyczne, zaprezentowane w reżyserii Aliny Obidniak, w scenografii Aleksandra Sell-Waltera, okazało, grane z młodzieńczą werwą, odnosi w Jeleniej Górze oczywiście należny sukces. Byłam noceznym świadkiem gorącego aplauzu jakim widowiska, pełna po brzegi, reagowała na nieprzemijający wdzięk tych „obrazków śpiewających i tańczących”.

O „Menażerii Cesarzowej Filissy” Henryka Tomaszewskiego, pisałam już parę lat temu w superlatywach (przy okazji małego festiwalu lubelskiej Estrady, która lubi rokrocznie zabłys-

z przypisane miniaturze formie „sztuki na głosy”, czy nie wydaje się to rozważanie zbyt „popularne”? Wolę dostrzeżać w „Lalku” walory niedościgłego doskonałego, lapidarnego syntetycznego obrazu życia dzisiejszego chłopu-robotniczego miasteczka z jego własnym stosunkiem do spraw życiowych (nie zapożyczonym od autora).

Reżyser, Ryszard Major, dobrze służył się autorowi pokazując sprawy realne poprzez pryzmat upodobań współczesnej poetyki teatralnej. Mimo absolutnej wierności detali obyczajowych, pijatyka w „Stodole” spełnia jedynie zadanie powierzchniowej barwy lokalnej. Symultanicznie snujące się wątki myślowe postaci splatają się w wieloznaczną fugę (spadek po Cze-

AUTOMATYCZNEGO połączenia Brań, musi pan zamawiać rozmowę — stwierdziła telefonistka z międzymiastowej. — Pierwsze „rz”, a drugie?...

— Pierwsze „z”, drugie „rz” — podpowiedziałam panience, która miała mnie połączyć z Żyrzynem. — Nie jest dobrze — pomyślałem przy tym. — Jakaś drugorzędna gmina i jakaś mizerna szkółka zbiorcza...

Potem okazało się, że panienka jest niedoinformowana nie tylko pod względem ortograficznym, lecz również telefonicznym. Albowiem Żyrzyn posiada automatyczne połączenie z Lublinem. Przez Puławę. Sama zaś miejscowość prezentuje się całkiem znośnie, z miejską jakby. Jest okazały pawilon handlowy GS, solidny budynek gminnego posterunku MO, ośrodek zdrowia, a nawet restauracja pod wezwaniem „Leśniczanka”, aczkolwiek nie ma kina stałego, domu kultury, zaś obiekt urzędu gminy — stareńki i nieco poszarpany. Są kłopoty z mieszkaniami dla kadry, która w większości dojeżdża z Puław — 12 km. Ta bliskość Puław jest tyleż samo dobra, co i zła dla Żyrzyna. Dobra — bo blisko wielkomięjskich uciech kulturalnych. Zła — gdyż potrzebę inwestycji kulturalnych w gminie, tradycyjnie już traktowaną jako nie najprzejdniejszą, odsuwa się na plan dalszy.

Na 63 gminy wiejskie w województwie lubelskim Żyrzyn plasuje się — pod względem wyników produkcyjnych i wyposażenia w instytucje do obsługi ludności — w pierwszej trójce. Pośród zaś 46 zbiorczych szkół gminnych, aktualnie działających w województwie, placówka w Żyrzynie oceniana jest jako „więcej niż średnia”. Tyle dowiedziałem się „na szczeblu wojewódzkim”. Czyli — przyzwoita przeciętność, i bardzo dobrze, gdyż jednostkowa egzemplifikacja może mieć tu walor szerszy.

Ponad przeciętność wszelako wyrastają chyba warunki lokalowe szkoły, której wielkością i przestronnością byłem nieco zaskoczony. Sądziłem bowiem, że zobaczę schludny nawet, ale nie za obszerny budynek dawnej gromadzkiej 1000-latkii, w który na siłę wtłoczono gminną szkołę zbiorczą, przenosząc do niej dzieci ze zlikwidowanych, narzbyt już siermiężnych szkółek wiejskich i czyniąc w budynku ciasnotę w imię wyższych ideałów Ministerstwa Oświaty i Wychowania, a za sprawą urzędniczej nadgorliwości Kuratorium Oświaty i Wychowania. Wiadomo zaś, że przeladowane pomieszczenia to pierwsza przeszkoda w racjonalnym nauczaniu, choćby nie wiem na jakim eksperymencie było ono oparte.

Jeśli jednak taka sytuacja zdarza się nawet tu i ówdzie — to nie w Żyrzynie. Szkoła została wybudowana w roku 1967 — między innymi i funduszy kopalni „Ziemowit” (górnicy wypożyczali potem budynek na letnie kolonie dla swych dzieci). I może jakiś atawizm górniczego rozmachu sprawił, iż tę szkołę zbudowano po prostu za dużą jak na ówczesne potrzeby (na 15 pomieszczeń przypadało 8-11 oddziałów), że jest w niej przestronna sala gimnastyczna, wytyczono duży plac na boisko szkolne, zafundowano nawet czteromieszkanicowy „dom nauczyciela” obok. Więc kiedy w 1973 roku ulokowano w budynku gminna szkołę zbiorczą, a następnie z pięciu małych szkółek przeniesiono do niej uczniów z klas V-VIII, miejsca akurat starczyło.

Teraz w szkole, nie licząc punktów filialnych z klasami I-IV i trzech szkół filialnych z klasami I-VIII, pobiera naukę 438 dzieci. Stanisław Sygnowski, dyrektor placówki, a zarazem szef całej oświaty gminnej, twierdzi, że szkoła w Żyrzynie „wytrzyma obciążenie” do 500 uczniów, ale świetlica już przyciasna — obliczona na 150 dzieci, a obsługuje 225, bo tyle akurat dojeżdża.

— Jestem zwolennikiem nierozdrabniania się, daleko posuniętej kompleksowości — powiada dyrektor. — Zasadniczo na terenie gminy powinna być tylko jedna szkoła VIII-klasowa, właśnie gminna zbiorcza, stwarzająca optymalne warunki nauczania i wychowania, grupująca najlepszą kadrę nauczycielską. Jeśli jednak chcielibyśmy przejąć z trzech szkół klasy V-VIII, to trzeba by dobudować kilkanaście gabinetów. Więc kwestia inwestycji, i to pomyślanych przyszłościowo. Jest przecież idea, otwierająca dla gminnych szkół zbiorczych perspektywę dziesięcioletniej szkoły średniej!

Trudno nie przyznać racji dyrektorowi, ale fakt, że ta szkoła ma możliwości rozbudowy, co stawia ją w sytuacji nader szczęśliwej i co jednak z góry niczego nie determinuje. Na razie kontentuje się stwierdzeniem, iż mają tam kilka pracowni-gabinetów, którym — ze względu na wyposażenie — można poświęcić parę słów ciepłych, a to: geografia, biologia, historia, fizyka, zalecia techniczne. Pełna radiofonizacja budynku, rzutniki, telewizory, magnetowid nawet (zepsuty jednak!), pianino, płyty tarczowe, wyrówniarka, tokarka, maszyny do szycia, kuchnia i stołówka, obsługująca do 200 osób na dwie zmiany (obiady, a od października także śniadania) — wszystko to dla rzeczywistości szkół gminnych, nawet zbiorczych, nie są sprawy o których nie warto pisać dzisiaj, kiedy jeszcze nie wszędzie jest codziennością, choćby takie wyposażenie.

I tu nawet nie o to idzie, że brak środków na pomoce naukowe i sprzęt, ponieważ każda szkoła zbiorcza w momencie startu ma automatycznie zagwarantowane 250 tys. zł właśnie na pomoce i sprzęt oraz 50 tys. zł na wyposażenie świetlicy. Są to pieniądze ekstra. Chodzi o to, z jaką zasobnością startuje zbiorcza szkoła gminna, a więc co trzeba dokupić, i jakie ma warunki lokalowe, żeby

ten sprzęt mógł funkcjonować, a nie na przykład stać w magazynku...

— Nie mamy problemów z transportem uczniów, dogadujemy się z PKS puławskim — powiada dyrektor Sygnowski, który całe to zagadnienie ocenia na „czwórkę z plusem”.

Przystanek PKS widzę naprzeciwko szkoły i tyle tylko, że zajęcia lekcyjne rozpoczynają się o godzinie 7.40, bo tak wynika z rozkładu jazdy. Jest to kwestia ani dobra, ani nawet zła, tylko charakterystyczna. Osoby z administracji szkolnej, które — same dojeżdżając — opiekują się dojeżdżającymi dziećmi, czynią to ze społecznej powinności, aczkolwiek przyszłość pokaże, czy sprawy tej nie dałoby się skuteczniej rozwiązać — na płaszczyźnie kraju — przy pomocy innych bodźców. Toteż pozwolę sobie zagadnienie dojazdów w Żyrzynie ocenić na „czwórkę”.

GMINNA



Szkoła w Żyrzynie

Fot. K. Próchniak

ZBIORCZA

Maciej Podgóski

Szkoła żyryńska liczy 26 nauczycieli — 3 po studiach magisterskich, 2 po wyższej szkole nauczycielskiej (aktualnie uzupełniają studia magisterskie), 20 po studium nauczycielskim (4 uzupełniają wyższe studia) i 1 po liceum pedagogicznym. Kilkanaście osób to byli kierownicy i dyrektorzy szkół z tego terenu. Po rozsadzie więc etatowej przydzielono tej szkole najlepszą, w ramach istniejących możliwości, kadrę, aczkolwiek ogólniejsze perspektywy zakładają, że każdy nauczyciel zbiorczej szkoły gminnej powinien mieć wyższe wykształcenie, zgodne z kierunkiem, w którym naucza. Grono nauczycielskie w Żyrzynie jest raczej młode (średnia wieku — około 35 lat), ale o tej perspektywie już teraz powinno myśleć, jeśli nie chcemy przez lata mówić o jakiejś fikcji docelowej...

Istnieje przeświadczenie, że dobry nauczyciel i kradą samą dziecko nauczy. Pomijając przesadę ludowych porzekadeł trzeba stwierdzić, że wysoki poziom kadry to dla gminnych szkół zbiorczych sprawa pierwszorzędna. Czym jednak ściągnąć absolwenta wyższej uczelni na wieś, jeśli nie mieszkaniem! Rzecz już niemal banalna. Pośród nauczycieli żyryńskich 7 osób posiada na miejscu własne domki, w większości zbudowane z pożyczek funduszu socjalnego ZNP, 11 osób mieszka w budynkach przyszkolnych (4 rodziny w niezłych warunkach „domu nauczyciela”, 7 — w gorszych warunkach lokalu podworskiego, gdzie w latach 50-tych mieściła się szkoła), a reszta w pomieszczeniach wynajętych u miejscowych gospodarzy.

Jest to statystyka taka sobie. Fakt, że nikt nie dojeżdża, ale żeby zabezpieczyć potrzeby mieszkaniowe nauczycielstwa gminnego, trzeba wybudować budynek 15-rodzinny. Wtedy dopiero przestanie się mówić o prowizorkach. Gdy byłem na miejscu, dyrektor dopiero przeprowadzał się z rodziną... ze szkoły do „domu nauczyciela”, a przecież objął swoje stanowisko już z początkiem zeszłego roku szkolnego.

Z dyrektorem zresztą osobna sprawa. I może dobrze się stało, iż tak skompletowanym gronem zarządza człowiek z zewnątrz, choć nie całkiem obcy. Pochodzi z położonego 27 km stąd Garbowa, w Nałęczowie kończył liceum, lecz studia wyższe już w Opolu na WSP. Potem pracował w Oleśnicy („piękne, nowoczesne miasto” — powiada) jako matematyk w szkołach średnich (wyściaga z biurka serwis zdjęć technikum, gdzie ostatnio pracował: „piękna, nowoczesna szkoła” — dodaje), a na koniec jako wizytator — metodyk w dziedzinie oświaty.

— Przyjechał pan z miasta na wieś, w dosyć trudne warunki i do nie największej w końcu szkoły. Czy nie ma pan poczucia drugorzędności, prowincji? — pytam.

— Po pierwsze: człowieka zawsze ciągnie w swoje rodzinne tereny. Po drugie: nauczyciel sprawdza rezultaty własnej pr. y właściwie dopiero po latach, i to jest bardzo piękne, ale to jest też kwestia temperamentu. Dyrektorowi ży-

ele płynie dynamiczniej, a to mi właśnie odpowiada. Na przykład kiedy wiem, że od mojej inicjatywy, umiejętności organizacyjnych, zdolności dogadania się z ludźmi w dużym stopniu zależy, czy dostanę z gminy na remonty 20 tys. złotych lub 200 tysięcy. Różni mi na początku mówili: z gminą trudno się porozumieć. Wyszło inaczej.

— Czyli dostał pan te 200 tysięcy?

— Dostałem. A kiedy na walnym zgromadzeniu GS pokazaliśmy szkolny teatrzyk kukielkowy, przekonałiśmy gremium, że warto inwestować w szkołę. To są całkiem realne potrzeby i czasem konieczne zabiegi. Ponadto pan mówi o poczuciu prowincji i małej szkole. A ja zarządzam, jeśli wziąć pod uwagę także punkty i szkoły filialne, gronem 66 nauczycieli, którzy uczą 1052 dzieci. To już jakby małe przedsiębiorstwo. Trzeba dogłądać majątku trwałego, dyscypliny finansowej itd. Sam filie to osobny problem, w żadnej nie ma na przykład sali gimnastycznej, jedyna sala taka istnieje w szkole żyryńskiej. U nas boisko domaga się inwestycji. Człowiek powoli staje się menażerem... Powołaliśmy prezydium gminnej rady pedagogicznej... Obradujemy, działamy...

Dyrektor Sygnowski ponadto stał się na terenie swej szkoły inicjatorem eksperymentu: „Uczeń Zdolny”, sygnowanego przez Instytut Badań Pedagogicznych w Warszawie, ale to odrębna kwestia. W każdym razie kto wie, czy taki model dyrektora-menażera, choćby na skalę gminną, nie jest najwłaściwszy, szczególnie kiedy i sam model szkoły gminnej dopiero dociera się i zbiera doświadczenia praktyczne.

Przyznać muszę, że kiedy oglądam żyryńską szkołę blaski i cienie, przekonuję się jednak do idei gminnej szkoły zbiorczej. I też zaczynam być zwolennikiem kompleksowości. Taka placówka powinna mieć etat bibliotekarza i ma obsadzony. Ma etat lekarza i pół-etat dentysty, ale dentysty brak w ogóle, zaś lekarz przychodzi dorywczo z ośrodka zdrowia, i tu już wkraczamy w potrzeby kadrowe i możliwości oraz warunki samej siedziby gminy. Kto wie, czy nie są to kłopoty ogólniejsze. No i ten brak zaplecza kulturalnego, który na co dzień skazuje nauczyciela na hodowlę kóz, królików czy uprawę działki przyszkolnej. Nie mam nic przeciw działkom, kozom i królikom, ale myślę, że nie w tym powinna się wyładowywać pozasłużbowa aktywność nauczycielskiego grona.

W lubelskim Kuratorium dowiedziałem się, że z początkiem bieżącego roku szkolnego powołano 15 zbiorczych szkół gminnych w województwie. Ze w ubiegłym roku szkolnym w zbiorczych szkołach gminnych o 2 proc. spadła drugoroczność w porównaniu z okresem, kiedy placówki te nie miały takiego statusu i wyposażenia. Ze jednak pozostało jeszcze 17 gmin wiejskich, gdzie nie powołano takich placówek, aczkolwiek działają tam dyrektorzy zbiorczych szkół gminnych, czyniąc przygotowania i rozeznanie możliwości terenu.

Wszystko to piękne, ale dowiedziałem się jeszcze, iż w tych 17 gminach ciężko będzie powołać gminne szkoły zbiorcze, ponieważ po prostu brak odpowiednich lokali, a jeden obiekt to koszt przynajmniej 30 mln. zł, gdyby go chcieć zbudować. I w tym sęk właśnie. Możliwości inwestycyjne resortu mają swoje granice, przynajmniej jeśli chodzi o rozłożenie wydatków w czasie. Będą więc pieniądze, budujemy obiekty z myślą o przyszłej dziesięciolecie gminnej. Nie ma chwilowo pieniędzy i nie ma obiektów, nie twórzmy na siłę zbiorczych szkół gminnych, powodując ciasnotę, ludząc się możliwością iluzorycznej rozbudowy do granic wytrzymałości, właściwie przelewając z pustego w próżne. Chciałbym bowiem przypomnieć, iż szkoła w Żyrzynie jest oceniana jako „więcej niż średnia”. Jak przeto wyglądają szkoły gorsze?

Po drugie — nigdy nie wywindujemy poziomu zbiorczej szkoły gminnej, jeśli same siedziby gmin nie staną się faktycznym centrum gospodarczo-kulturalnym terenu, który im podlega. Jeśli brak będzie domów kultury czy kanalizacji (w Żyrzynie nie ma „właśnie”), jeśli będzie dylemat: budować knajpę czy stałe kino, a potrzebne jedno i drugie! Jeśli wreszcie napływ nowej, dynamicznej kadry do gmin będzie hamowany rozpaczliwym brakiem mieszkań.

W Urzędzie Wojewódzkim w Lublinie powiedziano mi, że są zabezpieczone środki i wykonawstwo 1000 mieszkań w siedzibach gmin województwa dla poprawy sytuacji kadrowej. Takie byłyby plany najbliższej 5-latkii. W przyszłym zaś roku już rozpocznie się budowę 20 budynków mieszkalnych.

Są to w sensie ogólnospołecznym i w sensie szkolnictwa — bardzo krzepiace informacje. Jeśli zaś idzie o istniejące zbiorcze szkoły gminne, to miałbym propozycję: dajmy im chwilowo spokój i nie wymagajmy natychmiastowych wyników. Prawdę mówiąc niepokoi mnie to cieszenie się, iż osiągnięto ileś tam procent mniej drugoroczności w porównaniu i tak dalej. Moim zdaniem — całkowicie naturalnym zjawiskiem byłoby, gdyby początkowo zbiorcze szkoły gminne osiągały nawet większy procent drugoroczności w porównaniu z okresem, kiedy nie posiadały statusu zbiorczej szkoły gminnej. Zmieniają się przecież wymagania, rosną po prostu, zmieniają się warunki nauki i jej tryb, wydłużają dojazdy, a nie wszędzie ze świetlicami i półinternatami, niestety, jest dobrze. Uczniowie nie od razu asymilują się do nowych warunków, wymagań i stosunków. Stąd bierze się przejściowy wzrost drugoroczności (tak właśnie w Żyrzynie — czego dyrektor nie ukrywał). Wszelkie optymistyczne statystyki na samym początku — wydają mi się nierzetelne.

KURZAWCE WOJNA

Tadeusz Jasiński

MLODY inżynier jest cierpliwy. Po raz wtóry rysuje wielkie koło i zaraz wpisuje wewnątrz niego mniejsze. Między kołami powstaje w ten sposób pole, ale ono zapełnia się zaraz aż czterdziestoma czterema małymi krążkami, w które pewna ręka zastępcy kierownika robót górniczych w Bogdancie wprowadza tyleż samo kółeczek. Ładnie to nowe wygląda, tym bardziej, że od tych krążków i kółeczek właśnie biorą początek czerwone i niebieskie linie zmierzające do środka podwójnego koła, zbiegające się zapewne gdzieś w głąb, ale tego nie widać.

Inżynier Marian Ciednicki, którego współpracownicy nazywają drugim imieniem, Michał, prowadzi nas ku dwóm wieżom wiertniczym. Należą do Przedsiębiorstwa Poszukiwań Naftowych w Wołominie i Jasle. Pierwsza jest jakby martwa i czeka na rozprawę, druga jeszcze się mozoli i równomiernym ruchem wlebia się w ziemię, przedziela przez różne jej pokłady, by osiągnąć kolejny odcinek głębokości 720 metrów, jeden z 44. Każdy z nich przyjmie długą rurę o przekroju 14,5 centymetra, która z kolei pomieści w swym wnętrzu węzła, już plastikowe. W ten sposób w ziemi powstanie gigantyczna lodówka. W przewodzie krążyć będzie solanka i w najbliższym obwodzie zamrażać ziemię z 44 zamrożonych kęgów w glebie powstanie w bliskiej już przyszłości złodowaciały pierścień — go zmarzlina spotka się w tym czasie ze zmarzlina. Uwieczona zostanie największa nieprzyjaciółka włócznieckim przedzieleniu, kurzawka.

Ze śląskich legend górniczych znamy diabła Baruta, z pozytywnym dla literatury wykorzystanym przez Gustawa Marasa i innych pisarzy. Węgiel łubelski nie dorobił się jeszcze legendy, ale ma już swoją diablęcę. W trzech Lubelskiego Zastawia Wesołego, gdzie zapoczątkowano jej budowę, jest nią

właśnie kurzawka. Jej bliźniaczkę przelecieli się już przed laty budowniczo-warzawskiego metra, choć nie głęboko zamierzali wkopywać się w ziemię. W Bogdancie takiego lęku okazać nie sposób, jeśli chcemy, aby Polska mogła palić podlubielskim węglem, by za granicę nasze czarne bogactwo zmienić się mogło w dewizy. Trzeba jej było wydać skuteczną walkę.

Czym jest kurzawka? Według definicji składa się ona z drobnoziarnistych, luźnych osadów (piasków i mulów) nasyconych wodą. Kiedy tylko przy robotach górniczych naruszy tę mieszaninę, wylewa się ona ze ścian wyrobiska, zagrażając ludziom i sprzętowi. Uniemożliwiała by więc też drażnienie szybów górniczych przyszłej kopalni w Bogdancie. Zwykle wkonywanie się w ziemię bez jej obecności nie byłoby ani trudne, ani uciążliwe. Zbagatelizowanie obecności kurzawki sprawiłoby, że po dotarciu do jej pokładów trzeba byłoby po prostu zaprzestać robót: ogromne lawy płynnych piasków i mulów wypełniałyby nieustannie otwór, co więcej, szukałyby nawet ułcia na powierzchni ziemi. Tymczasem z geologicznych badań wynika, że ta zmaterializowana diablęcę znajduje się tuż pod powierzchnią i siecią 170 metrów w głąb, a jej następna warstwa czai się dwustumetrowym pokładem znowu od głębokości 400 metrów i doniero poniżej 600, aż do karbonu, znowu jest nieobecna. Na szczęście, bo i tam, w bezpośredniej bliskości węgla, należałoby jej wydać wolne, a w czasie eksploatacji nieustannie zagradzać drogę zamrażaniem.

Wystarczy jednak i tych dwu grubych warstw, aby stworzyć wiele niedogodności i niebezpieczeństw. Warstwy geologiczne sprawiły, że grupie wołomińskiej przy wierceniu otworów dla jednej z ziemnych lodówek powiodło się lepiej, jasielska natomiast natrafiała na spore trudności, ale i one już wnet zostaną pokonane. Po przystąpieniu do

zamrażania jednego kęgu wokół przyszłego szybu przyjdzie kolej, choć nieco opóźniona, na tworzenie mroźnego pierścienia wokół drugiego. Środek tych pierścieni zachowa swoją naturalną zawartość i będzie się z niego w przyszłości wybierać ziemię, jak miąższ ze środka kabaczka lub dyni. Jeszcze nie rozebrano obu wież wiertniczych, a już obok, na szynach toru, stoją gotowe szkielety dwu olbrzymich wież wyciągowych, nieco podobnych do tych, które widzimy na Śląsku. Ta, którą wielkie ciągniki przetoczą po torze na miejsce wieży wołomińskiej, jest już gotowa. Kiedy budowlani wymurują chłodniczą piwnicę i fundamenty dla tego giganta, wieża wyciągowa osiadnie w swoim miejscu. Przez kilkanaście miesięcy czerpać będzie z głębi studni o średnicy sześciu metrów całą historię ziemi. Pierścień zmrożonej gleby nie może ochraniać przyszłego szybu na zawsze, więc jego opancerzenie stanowić będą stalowe tubingi, które już kiedyś z myślą o warszawskim metrze, zaczęły wytwarzać Dolnośląskie Zakłady Metalurgiczne w Nowej Soli pod Zieloną Górą.

Dwa ramiona drugiej wieży wyciągowej — tej, która stanie niebawem w miejsce urządzeń jasielskich — trzymała na uwieczni stalowe liny. Właśnie wolno przetacza się od hali maszynowej wyciągu olbrzymi, samodzielną dźwig. Przenosił przed chwilą ciężkie silniki i wały poprzez niezamurowaną jeszcze ścianę jak zabawki. Udźwignąć może nawet 80 ton. Teraz zwraca się ku robotnikom z Przedsiębiorstwa Montażu Urządzeń Górniczych w Katowicach, którym przewodzi mgr inż. Janusz Kacprzyk. Wnet jego ludzie staną się jakby dyrygentami. Ramię dźwigu podniesie i przemieni trzecie i czwarte przesła wyciągu, a oni pod samym niebem połączą te elementy w całość. Co trzeba, ściągną śrubami, co należy — przyprowadzą. W tym czasie, kiedy ziemia będzie też pod wpływem cyrkulującej w rurach solanki, przesuną wieże nad przyszłe szyby i osadzą je mocno na fundamentach. Z ich wielkich kół długie liny połączą się z budowanymi już maszynowniami, z potężnymi silnikami by następnie mogło rozpocząć się wydobywanie ziemi, drażnienie szybu, otwieranie drogi ku pokładowi węgla, leżącym poniżej 720 metrów, a najpewniej i nałubiel w warstwie między 858 a 1053 metrem pod powierzchnią dawnego gospodarstwa Siedleckiego. A gdy już dojdą do karbonu, ludzie generalnego wykonawcy — Przedsiębiorstwa Robót Górniczych z Mysłowic — wyłobią początki chodników i wtedy doniero wszystko się zacznie naprawdę.

Janusz Kacprzyk powiada, że z Katowicami połączył się raczej na wiele lat. Po szybach kopalni pilotującej, a więc niejako doświadczalnej, przejdą w inne miejsca Lubelszczyzny i będą znowu zmieniać krajobraz tego regionu. Kacprzyk skupił wokół siebie dwunastu wytrwałych. Szukał ich w całym wielkim przedsiębiorstwie według metryk i poprzedniego miejsca stałego zamieszkania — Lubelszczyzny. W dni wolne od pracy miała więc niedaleko do domów. Do Świdnika, ale także i do Janowa Lubelskiego, bliżej niż na Śląsk.

Rozmawiamy z monterem Wacławem Bzowskim. Po zasadniczej szkole zawodowej pracował w Świdnickiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, ale 14 lat temu powędrował na Śląsk, właśnie do katowickiego Przedsiębiorstwa Montażu Urządzeń Górniczych.

— Wole robotę ruchliwą. Praca na taśmie motocyklowej wydawała mi się nudna, przy produkcji łonot śmigłowa także. Nasza brygada jest bardzo zgrana, w akordzie zbiorowym inaczej nie można. Teraz mamy trudne dni. Niepowodzenia Jasia obódnę także nasze zadania. Trzeba więc zostać po godzinach — zostajemy. Mam

już trochę lat, a nie założyłem rodziny. Wędrujemy po kraju. Może pójdę jeszcze z Kacprzykiem na budowę kilku szybów, ale myślę o zmianie. Kiedy ruszy kopalnia, przypiszę się do górników. Dobry monter zawsze się przyda w kopalni.

Nie tylko od tej grupy zależy jednak dotrzymanie harmonogramów. Chyba jeszcze bardziej zwrócone są teraz oczy na czternastu wrocławskich mostostalowców, należących do lubelskiej filii. Oni to właśnie montują agregaty mroźniowe. Edward Mitura, którego koledy wysunęli do rozmowy z reporterem jest optymistą. Tak, to prawda, budowlani z lubelskiej przemysłówki za późno przygotowali im miejsce do pracy, ale teraz fundamenty już są, a ponadto jest pogoda i na powietrzu praca nie wydaje się uciążliwa. Pod dachem już prawie wszystko gotowe, pozostawiono jednak trochę roboty na wypadek jesiennej sloty. Nie było skraplacza, ale nareszcie jest, więc wszystko będzie grało. Podzielił ten pogląd brygadziści Czesław Jędrasiak, natomiast ich kierownik, Ryszard Błaszczuk, patrzy już dalej. Przecież urządzenia montowane obecnie wystarczą tylko na uruchomienie agregatów, które mrozić będą do poziomu 170 metrów. Ale gdy przyjdzie czas, że trzeba będzie zejść poniżej 400 metrów, gdzie znowu zalega kurzawka, nie wystarczy. Wskazuje na budowane pomieszczenia: — Tam w październiku przejdziemy i znowu czekać nas będzie pośpiech. Takie są prawa budowy.

Podobnie szybko pracują ludzie katowickiego Przedsiębiorstwa Montażu Urządzeń Elektrycznych, ożywający obłe maszynownie. Trudno nam o rozmówców, indagowani mówią, że lepsi są do roboty niż do gadania. Potwierdzają to także wtedy, kiedy wieczorem odwiedzam ich w przyjemnych, choć dla nich tymczasowych mieszkaniach na Kalinowszczyźnie i Makach w Lublinie. Dojeżdżają autobusami do Bogdanki codziennie. Czy są zmęczeni? W niektóre dni bardzo. Czy ich firmy, albo dyrekcja Lubelskiego Zagłębia Węglowego, organizuje im wieczorne życie kulturalne? Nie. Korzystają z tego, co może im oferować sam Lublin, a może przecież niewiele. Najwięcej zależy od osobistych zainteresowań pracowników, nie u wszystkich są one ukształtowane.

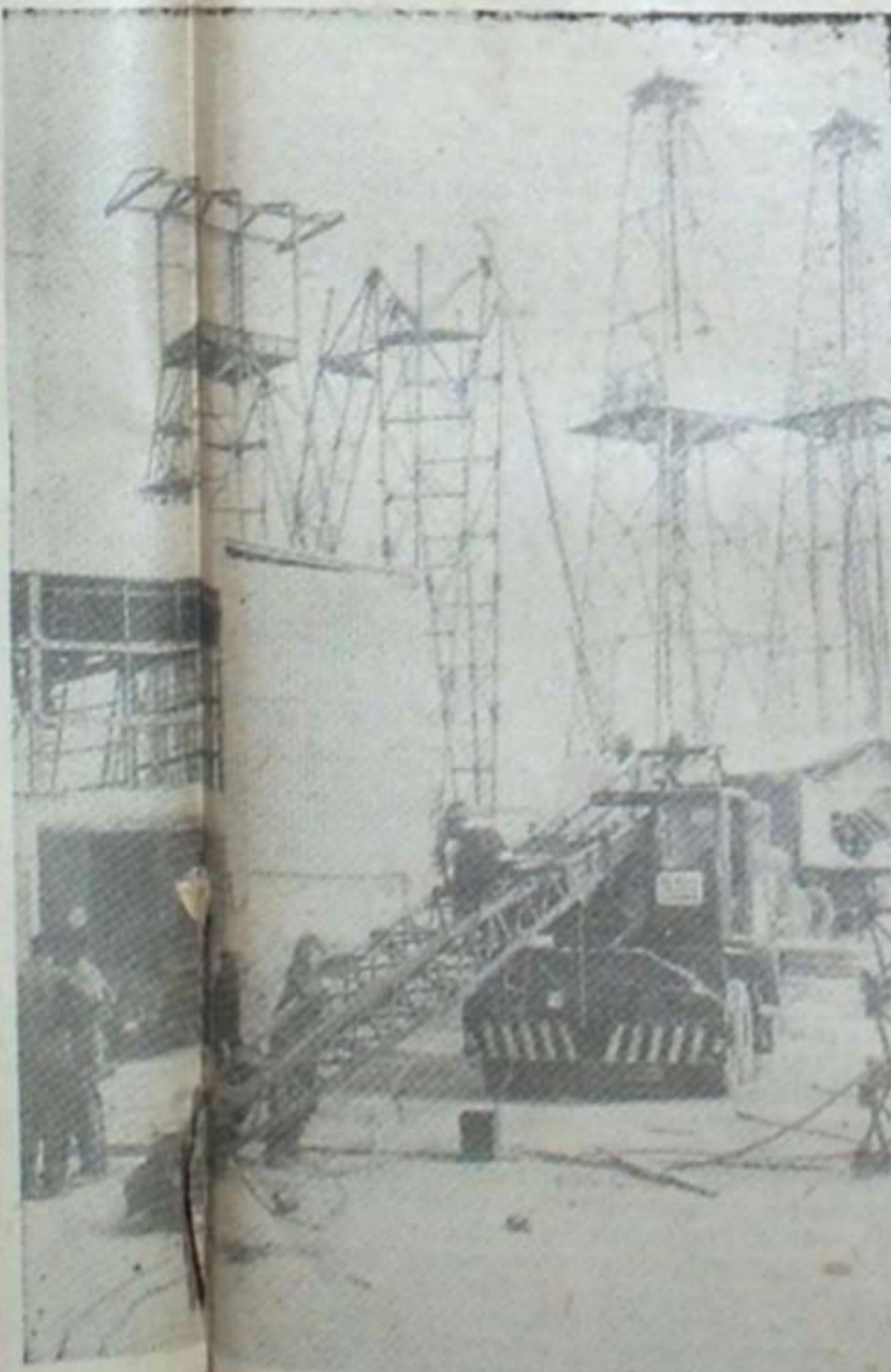
Pracują jednak na pewno dobrze. Do kierownika budowy, mgr inż. Waldemara Majewskiego, i jego zastępcy zgłasza się codziennie około 50 osób, które pragną podjąć pracę, choćby od zaraz. Nie ma na razie nowych przyjeźdźców. W czasie naszej obecności w barskowie Przedsiębiorstwa Robót Górniczych do inżyniera „Michała” przyszedł robotnik z Kielecczyzny, który pracował już pod Koninem, przyjechała kobieta na motocyklu, kilka razy na schodkach stanęli chłonce po zasadniczych szkołach, byli: murarz, elek-

tryk, ślusarz. Przyszła też kobieta z sąsiedniego Puchaczowa. Jej mąż pracował w POM-ie, ale się zwolnił. Przychodził tu kilka razy, lecz go nie przyjęto. I teraz Ciednicki doradza jej cierpliwość. Niech mąż przyjdzie za trzy tygodnie, no, w połowie października. Kobieta prosi jednak o wpisanie nazwiska w dobrym i widocznym miejscu księgi budowy. Sekretarka Ania wpisuje nowe nazwisko na okładce. Ciednicki wychodzi za kobietą i każe jej natrzeć w stronę wież wiertniczych. — Kiedy pani zobaczy z Puchaczowa, że rozbieramy te wieże, jeżeli nie będzie ich już widać, wtedy niech mąż przyjdzie i się przypomni. Zaczniemy znowu przyjmować.

Na zniknięcie obu wież czekają więc nie tylko pracownicy z Przedsiębiorstwa Montażu Urządzeń Górniczych, ale setki, nawet tysiące ludzi, którzy przychodzą na miejsce, pytają korespondentynie. Teraz trwa walka z czasem. Im szybciej zakończone zostaną prace przygotowawcze, tym szybciej i skuteczniej będzie można wydać wojnę diablency kurzawce. Im skuteczniej ją się ujarzmi, tym prędzej wyłobione zostaną i zbudowane oba szyby. Kiedy znikną także montowane obecnie wieże wyciągowe oraz maszynownie, a obok zbudowane zostaną już stałe wieże górnicze kopalni, gdy staną właściwe budynki mieszczące całą maszynię, zacznie się wydobywanie. Ciednicki powiada: — Wtedy będzie już po wojnie.

Do połowy października odbywać się będzie rozruch technologiczny — wpraw bez udziału solanki, potem i ona będzie krążyć w skróconym obiegu. Wtedy przewody zostaną połączone do tych właśnie stu otworów przyszłych pierścieni, które ujarzmią kurzawkę. Do „gwiazdek” górniczy będą chcieli wejść dość głęboko w ziemię, a następnie co miesiąc schodzić co najmniej o dalsze 100 metrów, by po około siedmiu miesiącach pracować już w karbonie, dobrnąć się do węgla.

W skwarne dni lata i wczesnej jesieni pył piasków unosi się nad budową pierwszej na Lubelszczyźnie kopalni. W dni deszczowe koła ciężkich samochodów grzezną nie w piasku, ale w mazi. Również ludzie trwał na przemian w tym kurzu i deszczu. Bogdanka postawiła przed nimi inne niż na Śląsku zadania, inny rodzaj trudności, rozbudziła też dodatkowe ambicje. Sporo tu nowatorstwa, które rodzą potrzebę. Choćby te czekające wieże wyciągowe, albo bliższe już wznoszenie obok nich trwałych zabudowań i urządzeń przyszłej kopalni. Dawniej robiono by wszystko po kolei, a teraz praca wbiega jako na równoległych planach. Wieże wyciągowe czekają na przesunięcia, zabudowania ostateczne zaplanowano tak aby nie zawadzały funkcjom tymczasowych. Chodzi o wygraną z czasem, o wychodzenie naprzeciw potrzebom energetycznym współczesnego świata.



Wiertnice (z prawej) i wyciągowe (z lewej)

Fot. J. Mirosław

GARMONDEM

WSZEDŁEM do mieszkania i już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że był kominiarz. Wszystkie przedmioty znajdujące się w kuchni (a kuchnię mam dużą — stare budownictwo) były pokryte dokładnie warstwą czarnej sadzy z komina. Zdarzyło się to zresztą nie po raz pierwszy.

Uporawszy się z myciem sprzętów z rozmazującej się sadzy, siadłem w fotelu, oddając się wspomnieniom. Ach, gdzie

te czasy, kiedy kominiarz był uważany za szczęśliwy omen?! Kiedy polawienie się jego na staromiejskim podwórzu witane było z radością? Kiedy to zabierając się do czyszczenia kominów wołał: „Kominiarzu! Garnki chować! Szybry zatykać!”? A kiedy właściciela mieszkania nie było, kominiarz zostawiał kartkę z ostrzeżeniem. No cóż, ginie powoli zawód kominiarza. Szkoda, że wraz z tradycją zanika grzeczny zwyczaj.

SIE

POWAZNE ZABAWY NORBERTA POHLA

W RAMACH labelskich Dni Kultury Niemieckiej Republiki Demokratycznej w ramach BWA otwarto wystawę grafik i rzeźby w drewnie Norberta Pohla. Te polichromowane formy, przypominające przecięte w połowie bochny chleba, skłaniały do ciepłej zadumy nad twórczymi możliwościami wyobraźni nie skrepowanej rygorami obowiązujących konwencji, mod i okazjonalnych dekalogów. Rozmieszczone treścią pokrywających je malowideł, nawiązujących do sztuki ludowej, wzruszały doskonałością kształtu, wynikającą niejako z samej natury drewna. Z pewnym zdumieniem stwierdziliśmy, że dzieło sztuki może być po prostu ładne, bezpretensjonalne, nie nadymające się „filozofiami” czy autorskim egotyzmem. Ze zdumieniem, ponieważ tak rzadko oglądamy twórczość spełniającą powyższe, oczywiste kryteria... Oto krótka rozmowa z artystą.

I J K: — Urodził się Pan w 1925 roku, Wyższą Szkołę Sztuki w Berlinie ukończył w 1962 roku. Co, poza dyplomem, zawdzięcza Pan uciełsi?

Norbert Pohl: — Przede wszystkim znajomość i szacunek dla warsztatu plastycznego. To były sprawy szczególnie mocno akcentowane podczas studiów. Jednym z moich profesorów był zresztą były wykładowca Bauhausu, Vogenauer, a wie Pan, jak wielkie znaczenie przykładano w tamtej szkole do zagadnień technicznych i technologicznych. Inna sprawa, że tenże Vogenauer zachęcał nas do słuchania muzyki.

I J K: — O ile wiem, przez wiele lat zajmował się Pan niemal wyłącznie grafiką ilustracyjną, plakatami i reklamą, notując w tych dziedzinach spore sukcesy. Pańskiego autorstwa jest przecież plakat na 28-lecie NRD, znany dobrze z ulic Berlina i innych miast naszego kraju. Skąd zatem te rzeźby?

N P: — Może to śmieszne, ale rzeźbić zacząłem z pobudek czysto rodzinnych, konkretnie — ojcowskich. Kiedy trzy i pół roku temu urodziła nam się córka, postanowiłem wykonać dla niej drewniane zabawki: krokodyla, koniki, barany, taki mały zwierzynek w kolorach. Już w trakcie rzeźbienia tych drobiazgów nabrałem nieoczekiwanie dużej sympatii do drewna. Jak to się mówi, poczułem twórczość. No i zacząłem rzeźbić z a b a w k i dla dorosłych.

I J K: — Podobno nie chce Pan sprzedawać tych prac...

N P: — Nie chcę. Jestem do nich bardzo przywiązany emocjonalnie, a poza tym obawiam się, że sukces handlowy mógłby wmanewrować mnie w smutną zabawę powielania samego siebie, tych samych rozwiązań. Kiedy zaś stoją w domu, patrzą na mnie, odnoszę wrażenie jakby mówiły: „nie popełniaj błędów”.

I J K: — Słyszał Pan o międzynarodowych plenerach rzeźbiarskich w Hajnówce? Tam właśnie zjeżdżają się artyści rzeźbiący w drewnie, które udostępnia im miejscowy tartak.

N P: — Całe stopy drewna?! He kto zechce?! Rajskie życie, naprawdę. Bo ja, proszę Pana, aby zdobyć kawałek dobrego drewna, biegam od stolarza do stolarza... Chętnie skorzystałbym z zaproszenia do Hajnówki. Chciałbym robić duże rzeźby, także ruchome, także abstrakcyjne, które można by postawić w osiedlu mieszkaniowym, na terenie zlokalizowanym przed szkołą. Należę do zespołu skupiającego plastyków i architektów, który projektuje wspólnie nową dzielnicę mieszkaniową.

I J K: — Czy tego rodzaju współdziałanie jest czymś zwyczajnym, usankcjonowanym odpowiednimi przepisami, stosowną polityką inwestycyjną?

N P: Tak, od niedawna. Bodaj 3 procent kosztów inwestycji budowlanych przeznaczają na sztukę. Współdziałanie artystów z architektami już w sferze projektowania ma na celu tworzenie integralnych przestrzeni urbanistyczno-architektonicznych. Chodzi o to, aby sztuka nie była ozdobnym dodatkiem do budynku, na przykład, ale stanowiła element współrzędny.

I J K: — Jeśli już jesteśmy przy tych kwestiach: jak przejawia się w NRD mecenat państwa nad twórczością artystyczną?

N P: — Działa u nas preżna instytucja państwowa zajmująca się handlem wewnętrznym i eksportem dzieł sztuki. Istnieje wielkie zapotrzebowanie na sztukę. Grafiki, ceramikę, tkaninę artystyczną, ale także malarstwo kupują zakłady pracy, stowarzyszenia społeczne, które poza tym składają u artystów zamówienia na wykonanie konkretnego dzieła...

I J K: — A nabywca prysnął?

N P: — Oczywiście, istnieje, dość żywo rozwija się w NRD kolekcjonerstwo dzieł sztuki, na przykład młodzież gromadzi grafiki... Chciałbym tutaj przypomnieć uchwałę Rady Ministrów NRD, podjętą dwa lata temu, a mającą na celu wyraźne polepszenie warunków życia i twórczości wszystkich artystów. Odczuwamy dobre następstwa tego dokumentu. Może to Pana zainteresuje: niemal każdy absolwent uczelni artystycznej otrzymuje, przez trzy czy cztery lata stypendium państwowe w wysokości do 400 marek miesięcznie, aby urządzić się jakoś w życiu. Nie, tego stypendium nie musi spłacać twórczością.

I J K: — Powracając do pańskiej wystawy: wydaje mi się, że te malowane rzeźby są czymś w rodzaju osobistego notatnika artysty...

N P: — Rzeczywiście, można je tak określić. Znajdują się na nich motywy, które — przykładowo — zszkicowałem w brulionie podczas podróży po Rumunii i Bułgarii, podpatrując życie tamtejszych chłopów. Urzeczony jestem zresztą sztuką ludową.

I J K: — Podejrzewam, że pewnego dnia satęskni Pan za malarstwem.

N P: — Bardzo możliwe, bardzo możliwe...

MIKROBIOLOGIA należy z najefektywniej i najintensywniej rozwijających się w ostatnich latach dziedzin biologii. Jej krótki stosunkowo żywot od chwili narodzin naznaczony jest wydarzeniami, które w całej biologii odbiły się ogromnym echem, wydarzeniami przełomowymi też i dla medycyny, jak odkrycie drobnoustrojów chorobotwórczych jeszcze w ubiegłym wieku, sposobu walki z nimi poprzez antybiotyki i wreszcie zupełnie niedawne próby wykrycia i pokonania w oparciu o wirusologię jednej z najstraszniejszych plag naszego czasu — raka.

To oczywiście tylko fragmenty całej niezwykle rozległej i kompleksowej nauki, której badania mogą mieć nie tylko bezpośrednie implikacje w życiu, także i poprzez problemy gospodarki żywnościowej (produkcja przy udziale bakterii wysokowartościowego białka, szerokie zastosowanie zdolności wiązania azotu przez niektóre bakterie w rolnictwie, oczyszczanie wód), ale która szuka odpowiedzi na najbardziej podstawowe w biologii pytania, zwraca się ku najistotniejszym problemom teoretycznym współczesnej nauki. Nie jest żadną tajemnicą, że odpowiedzi na nie kryją w sobie geny. Drobnoustroje są niezwykle dogodnymi obiektami do badań genetycznych. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że znakomita część współczesnej genetyki powstała właśnie w oparciu o te doskonale objekty doświadczalne.

Wyjaśnienie natury genów i mechanizmów ich działania stało się więc możliwe właśnie w oparciu o mikrobiologię. Ale także dzisiaj najbardziej fascynujące problemy genetyki roztrząsa się wykorzystując do badań drożdże, pleśnie, bakterie, wirusy, szczególnie zaś wirusy, czyli fagi.

XVIII Zjazd Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów, który odbył się niedawno w Lublinie, był

okazją, uwikłana jest w setki spraw niejako drugorzędnych, technicznych, w mozolne dochodzenie krok po kroku do pożądanej precyzji i jasności wyrażania swoich wielkich myśli i wielkich osiągnięć. Sami mikrobiologowie przyznawali na zjeździe, że badania stosowane wyraźnie dominują nad tzw. podstawowymi. Dyskusja zaś ograniczała się niemal wyłącznie do spraw technicznych. Teoria, jeżeli nie była udokumentowana i rozwinięta przez praktykę, prawie nie miała głosu, była jak niepełnie dojrzały owoc, na który patrzy się najczęściej obojętnie, choć czasem z uznaniem, lecz i nie bez pewnej irytacji, że jeszcze się do niczego nie nadaje.

To zdominowanie wielkiej nauki i prac wybitnych uczonych przez stronę praktyczną badań jest rzeczą bardzo charakterystyczną dla jej rozwoju w ogóle, a coś dopiero dla tak bardzo ekperymentalnej dziedziny jaką jest mikrobiologia. Naukę pcha do przodu, wbrew błyskotliwości i śmiałości jej osiągnięć, wysiłek i najwykiszszy trud tysięcy ludzi, tajemnicę odkrywa się mozolnie, stopniowo, ostrożnie, z konsekwencją i rozwagą. Jeżeli stopniowość i konsekwencja wynikają z zasad logiki rozwoju każdej nauki, to ostrożność i rozwaga jest absolutnie koniecznym elementem mikrobiologii — skutkiem jej braku może być eksplozja nie tylko znanych straszliwych chorób, ale i niebezpieczeństw stokroć gorszych — wynikających z manipulowania genami bakterii.

A jednak współczesna mikrobiologia, podobnie jak i współczesna genetyka, biochemia, a także nauka o ewolucji i embriologia istnieją dzięki nagłemu wtargnięciu, 20 lat temu, w uporządkowany świat jednego z najznakomitszych ośrodków naukowych — laboratorium Cambridge — dwóch młodych ludzi, gotowych na wszystko za cenę zdobycia sławy i cenę przygody: Watsona i Cricka, odkrywców struktury DNA.

Historia tego odkrycia, opisana przez Watsona w wydanej u nas niedawno „Podwójnej spirali”, sama w sobie jest jednym z fenomenów nie mających sobie równych w nauce. Watson powie: „dział w rozmowie z polskim dziennikarzem:”

Szczerze przyznam, że kiedy miałem dwadzieścia lat, moim głównym celem było zdobycie nagrody Nobla. Tej nagrody nie przyznaje się za byle co, zatem aby dostać się na szczyt, trzeba zrobić coś ważnego. Tak się dobrze złożyło, że wówczas nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ważne jest poznanie struktury DNA. Instynktownie rozumiałem, że jest to problem na miarę Nobla. Miałem wówczas 23 lata i dużo czasu na rozmyślanie. Problem można było zatać z dwóch stron: metodą systematycznych badań strukturalnych, co robił już od kilku lat Wilkins, lub też, zbierając fragmentaryczne informacje, próbować odgadnąć odpowiedź. Pierwsza droga wymagała ogromnej wiedzy i zdolności eksperymentowania, a na drugą mógł się zdecydować tylko ktoś taki niedoświadczony, jak ja.

Watson i Crick, fenomenalnie zdolni szczęściarze, budzący w światku Cambridge grozę swoim rozlęgnięciem i przedziwnymi pomysłami, rzucili się w problem nie tylko z całą siłą swojej młodości, chęci zdobycia największego lauru, ale i z pragnieniem przeżycia czegoś niezwykłego, odkrycia najbardziej prowokującego wówczas biologię zagadki — „sekrety życia” jak skromnie przyznaje Watson w „Podwójnej spirali”. Zarzucano im nieraz, że wykorzystują bez żenady osiągnięcia uzyskiwane w ciągu długich lat i przez innych badaczy, że dopasowali po prostu szczęśliwie pewną ilość danych zdobytych przez starszych kolegów. Ale przecież Nobla zdobył też wtedy wymieniony przez Watsona Maurice Wilkins, wybitny rentgenograf, którego starannym, wieloletnim pracem odkrycie podwójnej spirali DNA wiele zawdzięcza, i wreszcie — jej koncepcja nie od razu zrodziła się w śmiałych wyobraźniach Watsona i Cricka, poprzedzała je nieudana próba zastosowania do wyjaśnienia zagadki spirali trójnicowej. Wszystko to jednak wydarzyło się w ciągu niespełna trzech lat, w czasie niewiarygodnie i irytująco krótkim, wszystko to miało w sobie element nonszalancji, z czym niełatwo było się pogodzić naukowcom z Cambridge, ale w co uwierzył i czym zachwycił się natychmiast cały świat.

Związek Watsona z mikrobiologią w okresie poprzedzającym jego błyskotliwą karierę, jak i wtedy, gdy był już całkowicie opromieniony jej blaskiem, nie są absolutnie przypadkowe: jego promotor był mikrobiologiem, który na czele awangardowej grupy pracował wówczas nad wirusami, a ściślej — nad najprostszą ich formą, fagami bakterijnymi, wierząc intuicyjnie, że te najprostsze żywe organizmy są czymś w rodzaju swobodnych genów, a więc świetnym modelem do prób wyjaśnienia zachowania się ich w procesie dziedziczenia. Właśnie za sprawą owego mikrobiologa Watson tuż po studiach znalazł się w środowisku Cambridge, które umożliwiło mu (jako jednej z kilku zaledwie osób zajmujących się wtedy tą tematyką) podjęcie pracy nad strukturą DNA. W trakcie tych, jakże dynamicznych poszukiwań Watson zwracał się parokrotnie do stricte mikrobiologicznych zagadnień — raz do próby określenia struktury wirusa mozaiki tytoniu, drugi raz do problemów „życia pociowego” bakterii.

Dzięki żręczności Watsona i Cricka, ich bezkompromisowości, pragnieniu wydarzenia za wszelką cenę przyrodzie jej wielkiej tajemnicy i dzięki wreszcie ich zwyczajnej fachowości i niezwykłym zdolnościom, tajemnica została udostępniona światu, pchając go jednocześnie o całą epokę naprzód. Wszyscy jednak wiedzą, że kryją się za nią jeszcze następne i następne. Niektórych dotyka się już teraz, przeprowadzając eksperymenty genetyczne. Są wśród nich takie, które odstraszają, z ich odsłonięcia do końca trzeba w imię dobra ludzkości zrezygnować.

E. P.



doskonałą ilustracją z jednej strony faktu, że na osiągnięcia współczesnej mikrobiologii składają się badania w dziedzinie chemii, biochemii, biofizyki, medycyny, weterynarii i ochrony środowiska, z drugiej zaś, że obecność badań genetycznych jest w niej akcentem bardzo silnym i chyba największym jej atutem. Wiąże się to bowiem z nadziejami na uczestnictwo mikrobiologii w praktyce gospodarczej i na rozwiązanie przy jej udziale najbardziej palących zadań współczesności. Prof. Marian Mordarski, dotychczasowy prezes Towarzystwa, mówił o dwóch wielkich trendach badań, jakie wylaniają się w tej chwili w mikrobiologii — problem udziału bakterii w produkcji żywności (jej podstawą są bakterie wiążące azot z atmosfery — ze 175 mln ton rocznie wprowadzonego do gleby azotu 50 proc. zawdzięczamy bakteriom, tylko 1/4 nawozom azotowym) i problem zastraszającego wzrostu ilości szepców bakterii chorobotwórczych uodpornionych na antybiotyki, który rozwiązany może być właśnie przez gruntowne poznanie genetycznych podstaw tej odporności.

Jeżeli idzie o pierwszą sprawę, to mikrobiologowie snują rozważania nad „upowszechnieniem” cechy wiązania azotu atmosferycznego, którą posiadają tylko bakterie. Upowszechnienie to wiązać by się mogło np. ze stworzeniem sztucznego organizmu, który dzięki odpowiedniemu zestawowi genów miałby tę cechę rozwiniętą w pożądanym stopniu, lub wręcz z przeniesieniem umiejętności wiązania azotu z komórki bakteryjnej na komórkę roślinną. Brzmi to zgoła fantastycznie, ale nie ma barier biologicznych uniemożliwiających taki zabieg, poza tym były już czynione próby, zresztą uwieńczone sukcesem, przenoszenia pewnych genów z bakterii do roślin wyższych. Jest sprawą oczywistą, że postęp w rolnictwie zależy w ogromnej mierze od obecności azotu w glebie i w roślinach, badania, o których mowa, mogą mieć więc zupełnie decydujący wpływ na losy ludzkości.

Drugi problem — stały wzrost liczby uodpornionych na antybiotyki bakterii — stał się niezwykle alarmujący. Bezsilne jest już prawie wobec niego produkowanie coraz to nowych substancji o działaniu antibakteryjnym, lecz ma on szansę znaleźć swoje rozwiązanie we wnikięciu w złożone, genetyczne przyczyny tej odporności.

Na zjeździe mikrobiologów rozważano, obok innych ważnych i frapujących problemów, szczególnie praktyczną stronę tych, zakrojonych na szeroką skalę, wiodących w dzisiejszej mikrobiologii badań. Praktyczną stronę niebawem złożoną, rozrastającą się w miarę poszerzania znajomości problemu o całe obszary: interpretacji matematycznych i fizycznych, zmuszonych obliczeń, prób i doświadczeń, trudnej i skomplikowanej działalności laboratoryjnej. Przysłuchując się obradom miałem okazję stwierdzić, jak bardzo ta nowoczesna nauka, rozwijająca się ogromnymi skokami, niezwykle efektywna i doraźna w skut-

Pod eleganckim niebem

Marek Zgórk

HIPPIS wolno przekręcił się na posłaniu. Przy wezwaniu łóżka miał wnetkę okienną. Na zluszczonym parapecie leżał jedyny cenniejszy przedmiot jaki posiadał — zegarek marki „Cyma Prima” wskazujący godzinę szóstą minut dwanaście. Za oknem budziły się ptaki, na szybie przostawały skrzydelka majowe muchy. Zapowiadało się, że dzień będzie pogodny i solidny jak dębowa łóżko Hippisa nie tknięte przez kormiki.

Przetrzepał pierzynę w kraciastej pościwi, poprawił poduszkę, przez której czerwony materiał wylazły przeblisnięgi pierza. Podniósł się, żeby otworzyć okno świeżemu powietrzu, co niby ranny kot, nie osuszone słońcem, czmychnie na poddasze. Zegarek zawiesił na gwoździu przy oczach i dopiero wtedy popchnął ramy. Zawiasy jęknęły jak szarynany kur, zalopotały szklane skrzydła szyb. Powiew wtargnął raptownie, potem przysiadł i rozsunął się po ciemnym pokoiku złotym pyłem kwitnących kasztanów, biało-żółtym sadów i kaczolowym łak.

Mógł teraz leżeć spokojnie. Zgarmał z czoła siwe, przetłuszczone włosy, długimi pasmami rozsute na poduszce. Przejechał dłońią po brodzie posypanej opilkami czterodniowego zarostu. Jutro się ogolę — przyrzekł solennie i znieruchomiał zmęczony tym obrządkiem porannym. Tylko palce o krótko przyciętych paznokciach nerwowo skubały brzeg pierzyny. Kiedy się ma sześćdziesiąt siedem lat, każda choroba wydaje się uchyleniem furtki do wieczności. Każdy dzień spędzony w łóżku wydaje się ostatnim. A w tym peryferyjnym miasteczku nie było hałasu, choćby na tyle, żeby móc nim przygluszyć takie ostateczne rozważania. Ot, najwyżej w ciszę zastukał człowiek ostrzący może lub przejechał po jej grzbiecie sporadyczny samochód.

W tym wszystkim jedyną pociechą byli kumpłowie. Koledzy serdeczni, przedwojenni, synowie niezawisli tej miściny, z której nawet Diabeł Mówiący Dobranoc wyniósł się w ładniejsze miejsce. Jak Hippis był zdrowy, to chodzili nad rzekę, do lasu szukać partyzanckich znaków. Teraz zbierali się u niego na górce.

Wiedział, że najwcześniej przyleci Szambo Namber Lan, choć nie mieszka wcale najbliżej. Ale jego synowa i syn wychodzą do pracy na siódmą, a starego zostawiają z wnukiem i psem. Szambo czeka, aż znikną za rogami. Potem przedko tłukące się i cenniejsze przedmioty przenosi do kuchni, zamyka ją na klucz. Zaparkuje chowca do kieszni, wnuślowi zostawia zabawki i psa, obu razem jedzenie i wybiega.

Raz wynikła z tego duża afera. Smarkaczowi nie spodobało się, że wychodzi. Pies wyl jak kto głupi. Zdenerwowany Szambo Namber Lan przywiązał więc każdego do oddzielnej nogi stołowej i dopiero wyszedł. Traf chciał, że synowa wyrwała się wcześniej z pracy i zastała oba niezsześcią ryczące solo i chórem. Na intencję pomyślnego zakończenia rodzinnych mediacji trzy niedziele z rzędu latał do kościoła. Dał nawet piątaka na tacę, choć wstrzymali mu kieszonkowe z jego własnej emerytury. Wreszcie wszystko powróciło do normy, lecz i tak z spotkań wymyka się pierwszy, a podrasztającemu wnukowi kupuje trochę słodyczy, żeby go nie wydzawał.

Po nim powinien wdeptać Jasiu Chiński, ciągnąc za sobą stary rower na balonówkach z numerem rejestracyjnym uczeptionym tylnego błotnika. Atrakcją tego brontozaura rodziny roweropodobnych jest przednia lampa, do której Jasiu wstawia stearynową świeczkę. Sam Chiński wstawiał się wyprawą do lekarza w województwie. Przez pół roku ciął pieniądze, wreszcie odsztytował się jak stróż na Boże Ciało i pojechał. Po tej wizycie nie poczuł się wcale lepiej, ale też mieli co słuchać przez trzy dni. Bowiem tego lekarza to chyttrze wymyślił dla swojej starej — jedzy poczwórnej, ostro strugającej mu kolki na łbie. Naprawdę to pojechał na strip-tis do nocnego lokalu. Chodził potem dumny jak paw i miał nawet gościnne występy u różnych starców i starszawych znajomych, aż mu nos bardziej poczerwieniał.

Najpóźniej przychodził Jabłonek, czuć go było ziemią i porami roku. Przynosił w wypchanych kieszeniach zależnie od miesiąca: ogórki, zielonkawe pomidory, jabłka, rzodkiewki, w czapce truskawek trochę lub fliwek. Przez wiele lat sam był ogrodnikiem. Teraz, gdy wiek i przedsiębiorcze dzieci wyrzuciły go za bramy własnego ogrodu, zaczął się w budyń na przeciwległym krańcu miasta. Za wzywienie i kąpiel w ciepłarni pomagał trochę, służył radą przy krzyżówkach, a latem stróżował nocami w sadzie. Był z nich najstarszy i najmniejszy. Mówił raczej mało niż dużo — chyba że grał w pokera. Najczęściej, gdy czegoś sobie nie opowiadał, Szambo klócił się z Chińskim. Hippis milczał, a Jabłonek czasem przetykał ciszę starannym słowem.

Dzisiaj kolejność była inna. Szambo Namber Lan przyszedł ostatni, zalaatywało od niego denaturatem. Stał w kącie koło wiadra z nieczystościami, żeby być mało widocznym. Trzej koledzy przerwali opowieść w najatrakcyjniejszym momencie — gdy młoda miała zdjąć błyszczące majteczki — patrzyli na niego, musiał więc wyleżeć z kąta. Stał na słonecznej kładce rzuconej z okna i machnął desperacko rękami.

— We wrześnie idę do domu starców.

W sekundę po tym oświadczeniu mucha zaczęła się drapać po kosmatym łbie. W ciszy sterylnej dokładnej wyraźnie było słychać to ezochnanie. Nawet osłabiony Hippis uniósł głowę z purpurowej wyspy. Chińskiemu wspominki z nocnego lokalu ugrzęzły w krtani jak tyk niechcianej wódki. Jabłonek skulił się jeszcze bardziej i wyglądał jak jabłko przezimowane w końskim obroku na chłopskim strychu.

Szambo Namber Lan uznał takie wejście za wystarczające, usiadł więc w nogach hippisowego łóżka. Siegnął do kieszni po papierosa. Zapalił, wciągnął dym i splunął w widoczek zaokiennego krajobrazu.

— We wrześnie mały idzie do szkoły. To się nazywa klasa zero-wa, czy jakoś podobnie. Przed lekcjami i po lekcjach będzie siedział w świetlicy. Tam też ma jadać obiady. Wobec tego będę im niepotrzebny. A przy tym po tej ostatniej wpadce ona jeszcze bardziej wzięła mnie na żab. Są młodym małżeństwem i Andrzej nie chce mieć przeze mnie kłopotów. Domyślam się, że mnie się trochę wstydzą. Jej rodzice to młodszy ode mnie inżynierowie. Ja mam tylko od życia brązowy Virtuti i emeryturę. Tak i będzie, co ma być. W tym domu to ponoć i telewizor kolorowy mają.

Zamilkł, a i pozostali nie wiedzieli, co mają mówić. Podebatowali nad wyrokami boskimi, lecz wiedzieli, że te ludzkie wyroki zapadają nieodwołalnie. Hippisa wlecił w nosie lenki odór denaturatu i od tego zaczął.

— Po coś pił dyktę?

— Ał, poszedłem trochę robaka żalać do Pośka-Pajtaka na metę. Ale po ostatniej wizycie władzy nie mu nie zostało. Zabrał te półlitrowe starej, na onalanie kur chyba miała. Przepuściliśmy przez świeży chleb i jakoś poszło...

— To mówisz, że u Pośka był młody Narcyz z komendy? — Jasiu Chiński lubi znać sprawy a detalami.

— Tak, i z drugim jeszcze.

— Popatrz ty się jaka ta ludzka wdzięczność! Stary Narcyz od roku Pośkowi krewny półtora kafa, a synalek jeszcze mu za to śródki utrzymywania sekwestruje.

— Mus, przecież w prawie było, co władza to władza.

Jasiu z nagłej krwi wleciał prawie pod sam sufit.

— Mus! Tak! Mus! I dlatego przez tę władzę musiałeś denaturat golić, zamiast przyzwolicie — czystą z ogórkiem! Niech oni lepiej młodych od deprawacji chronią! My już za blisko dnia, gdy grabarz łopata w dupę przyłoży, żeby ślepiąc co wolno, a czego nie wolno!

Hippis na te słowa wyprężył się nerwowo. Spod zruszonego prześcieradła wysunęły macki żdźbła słomy. Jego ciało przypominało raczej deskę obleczoną w lnianą koszulę niż coś człowieczego. Słowa kumpła odebrał jako komendę, sygnal dla siebie.

— Coś mi się widzi, że ja pierwszy zapukam do świętego Piotra.

— Co ty pleciesz, Józef, będziesz jeszcze pił na stypie po nas. Zobaczysz, ostatniego z nas przetrzymasz — Jabłonek położył przesiąkniętą ziemią rękę na pergaminowożółtym ramieniu Hippisa.

Szambo Namber Lan spojrział złowieszco na Jasiu Chińskiego, a ten przedziutko zaczął zmywać zły nastrój w jaki wpędził kolegów.



Rys. E. Ingłot

— Może byśmy tak partyjkę pokerka strzelili? — zatarł ręce. — W „Sztylecie” ostatnim razem to ja stawiałem — zwrócił się z wyjątkiem do Hippisa, bo ten od miesiąca przypisany łóżku nie brał udziału w ich odysejach do baru „Zgoda”, który miejscowa legenda przechrzciła tak ostro. Myślę, Szambo, że ty też nie pogardzisz kufelkiem jasnego z baranym kolnierzkiem. No, dawaj karty.

— Tak, tak, dawaj karty — uleżył się na grę Hlo is.

— Kart z tego wszystkiego zapomniałem — zastopował ich ponuro nagabywany.

— Jak ktoś ma pecha, to i w drewnianym kościele cegła mu na łeb zleci.

— Ale ja jestem czysty — podsumował Chiński i zamilkł.

Zapowiadało się na dłuższą kwarantannę gadania. Nagle gdzieś z pozłomu bruku albo jeszcze niżej, od bram piekieł, rozległo się wołanie. Tak przeraźliwie głośne i przenikliwe, że posiadacz tego supergórnego „c” mógł konkurować z trąbami obracającymi wniwecz mury Jerycha.

— Gadzie jeden, złaż mi tu zaraz! Złaż, bo sama do ciebie wleżę i łeb ukręcę! Wiem, że tam siedzisz z koleśkami, tymi antychrystami zapowietrzonymi! Złaż obrzymo! Piekielniku! Chodź tu zaraz, albo ubiję jak psa!

Zgodnie spojrzeli na Chińskiego — niechybnie jego stara. Jabłonek troskliwie przesunął kwiatek i zamknął okno. Woleli nie prowokować trzeciej żony Chińskiego. Była młodsza od niego o piętnaście lat i nie miał z nią żadnych szans.

— Masz coś na sumieniu? — Jabłonek przyglądał mu się uważnie.

— Ty, Chiński, a może ona dowiedziała się prawdy o wyprawie do miasta? — Szambo Namber Lan na chwilę zapomniał o swej zgryzocie.

— E, co ty, to pewnie bym już nie żył. Recepty miałem prawdziwe nawet. O co innego idzie, mamy przecież działkę ziemi. I od tygodnia obiecuję zasadzić ziemniaki. Pewnie zaczęły pędy puszczać i dlatego pysk drze. Zmora kostropata, taki wstyd mi przy was znowu zrobić, ja jej pokażę — wyrwał się do okna.

— Nie ryzykuj lepiej. I nie rozsterdzaj żony za bardzo — orzekli koledzy.

Szybko pochwylił rower.

— Wpadnę wieczorem — rzucił w przelocie i już było słychać skrzypienie schodów pod nim i jego rowerem na balonowych oponach.

— A u ciebie, Józef, żadnej poprawy? — Jabłonek pochylił się do chorego. — Te mikstury, co ci lekarka rejonowa przepisała, to zle, czy jak?

Na kraciastym ładowisku pierziny przysiadł cichy szubowicz — paż królowej. Barwne bajkowo skrzydełka przyciągnęły uwagę Hippisa. Ostrożnie podstawił motylowi rękę, uniósł go delikatnie na wierzchu dłoni. Drugą ręką popchnął okno i wypuścił więźnia w nieskazitelną błękitną wolność wczesnopopołudniowego nieba. Potem dopiero obrócił głowę do Jabłonka.

— Te wszystkie leki tej mądrej pani doktor to wspaniałe do poszewki poduszcze, a potem wyrzuciłem w diabły. Proszkami to ja śmiereć nie oszukam, a może mnie od tego brzuch boleć, albo co.

Na słowo „brzuch” podniósł się Szambo Namber Lan.

— Ten mój to pewnie zjadł nawet psa, a teraz na mnie czatuje. Muszę więc iść, żeby nie pomyśleli, że się na dziecku odgrywam za nich. Wieczorem podrzucę ci tę książkę „Monte Cassino”, będziesz miał czytania a czytania. Syn obiecał ją dzisiaj przynieść. No to bywajcie do wieczora.

Skakał po dwa stopnie jakby ubył mu co najmniej dwadzieścia lat. Ale w pierś jeszcze wyżej i głośniejsze skakało jego serce.

Natomiast nie było wcale słychać odchodzącego Jabłonka. Zazębił tak, jakby w ogóle nie schodził. Odszedł tak niepostrzeżenie, jakby go wcale nie było.

Hippis spojrzął na czyste zawiniątka, w których przyniesli, co który mógł najlepszego. Uśmiechnął się niki — wyglądało to tak, jakby w jego twarzy odbił się cień wielkiego uśmiechu. Wygodniej wyciągnął wychudzone ciało pod stołem pierzyny. Kilkakrotnie głęboko wciągnął powietrze. Spojrzął w niebo. Nad małą, nie kwitnącą jeszcze prymulką, po eleganckim niebie płynął kędzierzawy obłoczek.

Dokończenie na str. 12

Kamena str. 11

— Bo wy nie wiecie, że tu już trzeba w lipcu, sierpniu. Wtedy wszyscy szukają...

Ale jednak nie wszyscy, skoro przez cały wrzesień w Biurze Kwater Prywatnych ZW SZSP przy ul. Narutowicza, od rana czeka codziennie po kilkanaście osób. Czekają ci, którzy chcą „iść” na pewniaka, zgłosić się od razu do osoby, która przyjdzie tu wpisać swoją ofertę do czerwonego zeszytu. Czekają po kilka godzin, czasem cały dzień. Inni notują skrętnie adresy nie zastanawiając się, czy są jeszcze aktualne i przez parę kolejnych dni biegają ich śladem, wpadając od czasu do czasu do biura, by sprawdzić, które zostały wykreślone i co przybyło nowego. Potem jednodniowy oddech i znów to samo... Poszukiwania są gorączkowe, o wszystkim decyduje szybkość.

Tuż przed moim przyjściem do biura wpisano adres stancji przy ul. Narutowicza: „zgłoszenia 9—11”. Jest w pół do dziesiątej. Szybko zbiegam ze schodów. Mijam parę domów muszę jeszcze pokłuczyć trochę po podwórkach i bramach. Nareszcie: na drzwiach złoci się wizytówka. „Prof. dr” — czytamy. W drzwiach staje uśmiechnięta pani profesorowa. — Niestety, zajęte...

Nie chce mi się wierzyć, że ktoś mnie ubiegł, ale w korytarzu majaczy postać z walizką. Tu naprawdę decydują minuty, a gra jest o dużą stawkę. Chłopak któremu się udało, zdradza mi swoją metodę: — Postanowiłem wziąć ich na szybkość. Te musiało być niezawodne.

Pozostawała kwestia organizacji. O jedenastej byłem przed drukarnią. Czekalem godzinę na murku. Wyrwałem im z rąk jeszcze ciepły „Kurier”, zamówiona taksówka stała za rogiem. W ciągu 10 minut od ukazania się ogłoszenia miałem mieszkanie.

Tak, to musiało być niezawodne, ale większość studentów woli, od tych z „Kuriera”, stancje z Biura Kwater Prywatnych. Mają jedną nieodpartą zaletę — są tańsze.

W jakiej cudownej sytuacji są ci, którzy nie muszą co roku zmieniać mieszkania! Niestety, przez wakacje trzeba płacić pół ceny pokoju, ale przyjeżdża się „na swoje śmieci” dopiero na rozpoczęcie roku akademickiego. Zdarza się i tak że wraca się po wakacjach na uzgodnione i opłacone stare miejsce, a ono jest już zajęte. Znalazł się lepszy lokator.

Rzadkością są stancje, które wystarczają na całe studia. Najczęstsze są roczne, a czasem i krótsze,

Nie znalazłam stancji...

Jeśli okaże się, że student i właściciel nijką się zgodzić ze sobą nie mogą.

Studentka Akademii Medycznej opowiadała mi o swoich ubiegłorocznych kłopotach: — Mieszkałam z koleżanką u gospodyni, która była młodą mężatką z trojgiem dzieci. Warunki tzw. socjalne — bardzo dobre. Pani w pierwszych dniach oczarowała nas swoją gościnnością i życzliwością. Ale potem okazało się, że nasze zachowanie jej nie satysfakcjonuje w pełni. Miała za złe, że nie stawiamy jej przynajmniej raz w tygodniu kawy, że nie bawimy jej trójki dzieci i nie wysłuchujemy z należytą uwagą opowiadań o mężu-tyranie. Próbowałyśmy te pretensje lekceważyć. Ale kiedy wyjechałyśmy, tuż przed sesją, do domu, korzystając z paru dni wolnego, po powrocie wymówiła nam mieszkanie tłumacząc to naszą nieobecnością podczas imienia pana domu.

Pewna starsza pani zastrzegła sobie przy przyjmowaniu kandydatów na stancję, że muszą spełniać parę warunków, spośród których na czołowych miejscach znalazły się: obowiązek wypicia raz w tygodniu lampki wina z gospodynią i zakaz puszczania na adapterze ludowych piosenek. Niektóre warunki są stawiane już w ofertach kierowanych do biura przy ul. Narutowicza. Oto jedne z bardziej charakterystycznych: „pokój dla studentki z I roku”; „studentka z Wydz. Mat. Fiz. Chem — pokój w zamian za korepetycje dla dziewczynki”; „tylko medycyna”; „studenci — prawo, medycyna”; studentka niepaląca”.

Kolejne mieszkanie, do którego trafiam, jest też w centrum miasta. „Pokój dla 4 studentek z wygodami. Cena 250 zł” — głosi anons w czerwonym zeszycie. Drewniane, mocno zużyte schody prowadzą mnie na drugie piętro. Pukam wytrwale, ale w mieszkaniu odzywa się tylko pies. W końcu otwiera drzwi krótkowłosa kobieta w spodniach. — Tak, to tutaj, proszę bardzo — przechodzimy przez ciemną kuchnię do dużego pokoju. Stół zasłany obrusem, obrus zasłany okruchami, brudna podłoga, szafa, książki, toaletka pod oknem. Dwoje drzwi prowadzących do sąsiednich pokoi.

— To właśnie jest ten pokój. Musi być oczywiście coś własnego do spania. Obok mieszka babcia, 86 lat. Ale jej właściwie nie ma, siedzi u siebie albo idzie do kumoszki popłotkować... Widać, że w sąsiednim pokoju też ktoś mieszka, więc na spokojnie nie ma co tutaj liczyć.

— Jest telefon na miejscu — z dumą podkreśla właścicielka.

Oglądam łazienkę. Dostaje mirocna. Z kąta wytłania się wanna, zasłana wszelkimi możliwymi rupieciami, sterczą z niej jakieś dziecięce narty i rowerki. Rozmawiamy jeszcze chwilę o interesujących obie strony szczegółach.

— Koleżanki? Oczywiście! Koleżdy też. Ale stawiam sprawę jasno: nie chcę mieć „lekcji pokazowych”.

Jestem wdzięczna za tak zwzięte i jednoznaczne ujęcie tematu, chociaż trochę mnie ono szokuje.

— W ubiegłym roku musiałam dwa razy wzywać milicję — wspomina z gorczyzą.

Widząc moje niezdecydowanie jeszcze raz napomyka o telefonie i o tym, że pamięta jeszcze dobrze swoje lata studenckie, wiele więc może zrozumieć i jest tolerancyjna. Wypalamy papierosa i rozstajemy się bez urazy — gospodyni liczy chyba na dalszą znajomość, ale ja już wiem, że przechodni pokój, bez ciepłej wody, z trzema towarzyszkami, z łóżkiem, które trzeba sobie gdzieś wykombinować — „to nie jest to”.

Właścicielka domu na peryferiach jest już w szlafroku. Proponuje też pokój czteroosobowy. Zostało w nim tylko jedno wolne miejsce. Żelazne, rachityczne łóżko z materacami w paski stoi pod ścianą. Trzy pozostałe, szafa i stół mieszczą się tu z trudem. Ten pokój mógłby się z powodzeniem znaleźć w jakimś starym, prowincjonalnym, ciasnym internacie. Cena: 400 zł. Łazienka i ubikacja na dole. Widać jeszcze kilka tego typu pokojków na piętrze i pytam o innych lokatorów.

— Uważam, że tego nie muszę pani mówić — odpowiada ostro gospodyni. — Dostaje pani pokój, ja

Pod elegancją niebem

Dokończenie ze str. 11

Ten łagodny widok przypominał mi pewne zdarzenie z lat wczesnego dzieciństwa. Miał wtedy może osiem, może dziewięć lat. Z kolegą i młodszą siostrą kolegi poszli na łachy piasku za miasto. W czasie zabawy mała poprosiła, żeby ją zakopali. Wsadzili więc ją w wykopany doł aż po szyję. Mocno ubili bosymi stopami piach w kolo jej warkoczy z kokardami. Gdy w końcu zaczęła się niecierpliwie długością tej zabawy, nasikali jej na głowę. Pomyślał, że wtedy też było niebo z jedną chmurką. Mocniej rozwarł oczy, jakby chcąc wchłonąć w siebie część błękitu. Zaciśnął kurczowo palce na brzoju pierzyny i tak już pozostał. Tylko odbity w jego zrenicy plezasty obłok i mała prymulka matowały i zapadały się coraz głębiej i głębiej...

Jabłonek nerwowo poddreptywał obok szybko podskakującego Szambo Namber Lana. Nigdzie nie mogli znaleźć Chińskiego. Szambo wolniutko zaszedł do jego starej, ale zaraz piorunem wyleciał, rozkładając bezradnie ręce. Pokurczony Jabłonek ścisnął w jednej ręce ogromny krucyfiks, a w drugiej wielką świecę i myślał intensywnie. Wreszcie wymyślił.

— On pewnie jeszcze siedzi na tej ich działce.

— Coś ty zgłupiał do imentu! — Szambo aż przysiadł na piętach. — Co on by tam po ciemku robił? Chyba, że boi się do domu wracać — odpowiedział sobie. Na wszelki wypadek poszli więc brukowaną pochylnią wylotowej uliczki w stronę pół. Klucząc w ciemnościach potykali się o grudy ziemi, wpadali w bruzdy. Już tylko domyślając się drogi szli coraz głębiej w mrok. Powoli zatraćali poczucie rzeczywistości w ogromnej ciszy nocnej, nie złamanej nawet symbolicznym powiewem wiatru. Wydawało się im, że idą zaoranym niebem, mając nad głowami kopułę z ziemi uprawnej. Wreszcie w mroku dostrzegli szczylinę złotego światła. Szambo zapalił gromnicę Jabłonka. Teraz wyraźnie zobaczyli Chińskiego, jak w świetle rowerowej latarki wsadzał w skopaną ziemię sadzeniaki. Zgięty w kablak brał ziemniaki z koszyka, tkął w dziurę, przesuwając świeczkę krok dalej i znów sięgał do wikliniaka.

Szambo Namber Lan rozbił wreszcie ciszę.

— E, Chiński, nieszczęście się stało — głośno obtarł nos rękawem znoszonej marynarki.

A następnego dnia przed południem poszli z Hippisem w ostatnią drogę. Małą trumną z nagich desek oparli na rowerze Chińskiego, bo nie donieśliby do cmentarza, hen na górki. Dopiero przed bramą wzięli ją na ramiona. Jabłonek niósł z przodu, dreptał przedziutko, byle szybciej do krzaka jaśminu,

na samym kraju zapuszczonej części cmentarza.

Do cmentarnego muru przylegało pegeerowskie pole. Horyzontem ziemi kielkującej zbożem stykało się na widnokręsie z horyzontem czystego nieba kielkującego głosami skowronków.

Ksiądz szybko odmówił modlitwy, wziął pieniądze za pokropienie ziemi i poszedł. A oni zaczęli zasypywać mogiłę. Zrazu wolno, żeby nie zruszyć spokoju Hippisa. Potem coraz szybciej z jakimś furiackim zapamiętaniem, żeby mieć to już za sobą. Jabłonek w usypany kopczyk włożył sosnowy krzyż. Chiński ustawił przy nim prymulkę z parapetu, która jeszcze nie kwitła. Szambo Namber Lan w miejscu, gdzie domyślał się ręk, położył na grobie nową, zapieczetowaną talię kart.

— Niech ma swoje. Tak chciał wczoraj pograć, a ja głupi dziad nie wziąłem kart. Tak to może być jeszcze z nami. — Usiadł w wydeptanych pokrzywach obok odpoczywających kumpi. Myślał, — myślał, wreszcie powiedział głośno:

— A może i my byśmy tak zagrali? Weselej będzie Hippisowi. — Wyciągnął zniszczone wielokrotnym używaniem karty. Chiński poweselał nieco, tylko Jabłonek był jeszcze niezdecydowany. Wreszcie i on przytaknął.

Szambo rozłożył na zielonych chwastach białą chusteczkę i zaczął pokera.

Alina Guzowska

DAREMNOŚĆ

Tyle już lat
modłę się
do nóg swoich
jak do bóstwa
zdolnego ucziowieczości

Jeśli już nie ozdoba —
podpora mi bądźcie
na ludzkie drogi
dawno wydeptane,
na wyszczerbione
schody bez poręczy
równowagą mi bądźcie

Inaczej
nie przestanę was
dawać na męki
skalpelom i dłutom
dopóki tchu starczy
choć na modlitwę
daremny

DOPIERO

od twoich okryć
i butów stwardniałych
czekaniem daremny

wiem
że ani samym południem
ani północą żadną
nie staniesz się znów
ciałem
potrzebującym ciepła
i otulania w miękkość
jakiej nie dają żadne
cmentarze

dostają pieniądze i na tym koniec. Nic o sobie nie wiemy i panią też o nic nie pytam — ciągnie już tonem wyjaśnienia.

A więc całkowita izolacja. To też się ceni. Gdyby jeszcze nie było tak ciasno i smutno w tym internackim pokoiku... Umawiamy się nieobowiązująco, dama w szlafroku odprowadza mnie do drzwi. Przed domem kołyszają się na poręcz ganku dwie naburmuszone panienki. Uczennice technikum, mieszkanki tamtego pokoju za 400 zł.

W Biurze Kwater Prywatnych notuję kolejne adresy. Odległe dzielnice — Dziesiąta, Sławin, Tatarsy. Biurowy pokój pełen ludzi o sennych, zobojętniałych twarzach, ale wciąż mających nadzieję, że zdarzy się za chwilę nadzwyczajna okazja.

W autobusie przypominam sobie opowiadanie kolegów, którzy w ubiegłym roku szukali mieszkania w ostatniej chwili. Czekali w biurze całymi godzinami. Kiedy pojawiła się starsza pani, oferując „nieduży ale jasny pokój z kuchnią”, powitali ją jak objawienie. — Ale tylko dla dwóch panów — zaznaczyła. — To nas jest właśnie dwóch — odparli ochotczo panowie. — Noo, nawet byście się nadali — zmierzyla ich wzrokiem. — Zawsze to bym się pewniej czuła. I tak od słowa do słowa okazało się, że ta pani ma jeden pokój, w którym mieszka, i który proponuje za niewygórowaną cenę. Odkrycie to wywołało w niedoszłych lokatorach niepohamowaną wesołość.

Nowe bloki na Tatarach. Przed klatkami schodowymi trawniki i laweczki. Na laweczkach siedzą babcie we flanelowych bluzkach i pochyleni starszankowie. „Pokój wynajmę dla 1-2 osób. Cena do ustalenia. Zgłoszenia po 15”. Starsza pani, która staje w drzwiach, jest roześmiana i ożywiona. Mówi mi, że drzwi się u niej nie zamykają, odkąd dała to ogłoszenie. Uprzejmie zaprasza do środka. Pokój tonie w brązach i fioletach. Łóżko i tapczan na przeciwko siebie, przedzielone stołem. Na ścianach stare fotografie, jakieś plakaty. Niedużo tu miejsca, ale cena ucho cieszy: 350 zł. — Wynajmowałam już ten pokój. W ubiegłym roku dwóch uczniów miałam. Był też jeden magister. I jeden pan z ekonomii też mieszkał — opowiada. Przez uchyloną zasłonkę widać wejście do łazienki i skromną kuchnię. Starsza pani ciągnie tonem zwierzeń: — Różni tu mieszkali, ale dobrze im było. Zawsze coś dobrego ugotuję, herbatkę przyszykuję. — A pani gdzie mieszka? — coś mnie tknęło. — Tutaj — pokazuje łóżko pod ścianą. Mój entuzjazm mija jak ręką odjął.

Chcę się wycofać co prędzej, ale przyszła właśnie nowa kandydatka. Właścicielka wita ją ser-

decznie, zaprasza do środka i — podobnie jak mnie — wypytuje skąd pochodzi i gdzie studiuje. — Z Zamojskiego! No, no, siostrzeńca mam w Zamościu — cieszy się staruszka. — A rodzice duże gospodarstwo mają? — Niedużo? Ale ogródek własny jest, co? — Okazuje się, że dziewczyna ma przed sobą i rok ekonomii. — Pani z ekonomii? To ślicznie! No proszę! Z ekonomii. A ja mam jednego znajomego z ekonomii. Mieszkał u mnie. I docenta jednego znałam! Panią rozgląda się tymczasem po pokoju niemrawo. Perspektywa dzielenia go z właścicielką wcale jej jednak nie zraża. Nieśmiało usiadła na brzegu tapczanu. Chciałaby zamieszkać tutaj z siostrą...

Właścicielka sadowi się tymczasem pod oknem, maluje grubo wargi czerwoną kredką i poprawia filuternie włosy nad czołem. — No bo co mi teraz zostało — uśmiecha się do nas. — Tyle, że się troszkę umaluję, coś dobrego do jedzenia zrobię. Codziennie jeżdżę na targ — dodaje konspiracyjnie. — Wszystko musi być świeże... Krząta się jeszcze chwilę po pokoju, powtarzając z radością: — Z ekonomii! Jak to ładnie! Pierwszy rok! — A pani niech się nie martwi — zwraca się do mnie rozpromieniona. — Nie martwie się młodzież! — wykrzykuje z entuzjazmem. — Znajdzie się stacja dla pani. Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie. Dostają adres, gdzie powinno być jeszcze coś wolnego. Zegnamy się. Staruszka, umalowana i ożywiona, naprawdę cieszy się z nowej lokatorki.

Następnego dnia znów wstępuję do biura przy ul. Narutowicza. Stara gwardia siedzi od wczesnych godzin porannych. Pała, gadają, wyskakują na obiad, znowu przychodzą. Atmosfera prawie rodzinna. Płyną opowieści o stacjach: wesołe, smutne, dramatyczne, rzewne, oburzające. Ktoś opowiada, jak nabrał się na „pokój dwuosobowy, pełny komfortu 900 zł”. Pełny komfort sprowadzał się do kranu w ogródku. Pokój był w garażu. Bez pieca, ściany brudne; pozaciekane. W zimie czasami przynoszono nam słońce, ale i tak namarził mi się w tym cholernym komforcie, a niech to...

Komfort w ogłoszeniach biura jest w ogóle często sprawą podejrzaną. Najczęściej oznacza on telewizor w pokoju. Czasami telefon. A cała reszta — Boże uchowaj! Ostatnio, na szczęście, to wieloznaczne słowo znika z anonsów, a zastępuje je budzące większe zaufanie: „wygody wszelkie”. Ale i z tym nie zawsze sprawa jest jasna. Bo co za wygody, jeśli w łazience nie można palić światła, kiedy idzie się umyć ręce, nie ma co zrobić ze stertą ubrań, bo szafa zamknięta na cztery spusty, o 22 wyłączają bezapelacyjnie światło, bo „prąd kosztu-

je” i o ugotowaniu czegośkolwiek na gazie oprócz wody nie ma mowy! W tych warunkach dopuszcza się eksperymenty typu: jajecznicza w słoiku, gotowana grzalką! Pewien „pokój z wygodami” opatrzone był enigmatycznym: „używalnością łazienki”. Okazało się że można jej używać, owszem, raz na dwa tygodnie.

Ktoś inny opowiada, jak przyjęto go niemalże do rodziny i hołubiono przez kilka lat po domowemu. Jakis chłopak mieszkał przez cały rok z pewnym miłym starszkiem. Spali w jednym pokoju, łożko w łożko, ale staruszek, oprócz towarzystwa (co było niewysłowioną zresztą rozkoszą dla ducha, bo był on gawędziarzem niespotykanej klasy) i pewnej niewielkiej pomocy, wymagał tylko 25 zł miesięcznie!

A ja tymczasem upewniwszy się, że adres uzyskany od starszej pani jest już nieaktualny, idę obejrzeć pokój, który kosztuje miesięcznie okrągłą sumkę — 1000 zł. Za tę cenę to naprawdę muszą być luksusy, ale chętnych w biurze jakoś nie widać.

Do tego kosztownego pokoiku wchodzi się przez kuchnię. Jest okazały, owszem, i bardzo schludny. — Ciepła woda, gaz, tylko ubikacja na dole, w piwnicy — pani w okularach demonstruje mi „wygody wszelkie”, a potem dokładnie wypytuje się o moje sprawy. Interesuje ją pochodzenie, studia, rodzina. Najwyraźniej boi się rodziny. — Miałam jedną studentkę. Była spokojna, zadowolona z niej byłam, ale jak zaczęła odwiedzać ją rodzina...

W Biurze Kwater Prywatnych stagnacja. Ci sami ludzie, pełno dymu papierosowego, nic nowego nie przybyło. W tej sytuacji jedynie uzasadnionym optymizmem napawa nas ogłoszenie w „Kurierze” treści następującej: „Zakład Projektowania i Usług Inwentaryzacyjnych Inwestprojekt w Lublinie ogłasza przetarg nieograniczony na sprzedaż następujących nieruchomości:

1) budynek mieszkalny i komórkę drewnianą przy ul. Północnej 97-c, za cenę wywoławczą 850 zł...

2) budynek mieszkalny murowany z przybudówką... itd.

W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa państwowe spółdzielcze i osoby prywatne.

Jestem osobą jak najbardziej prywatną, dysponuję kwotą 850 zł, studiuje, nie znalazłam stacji, a więc — Budynek mieszkalny z komórką drewnianą, na własność, to brzmi dumnie...

Ewa Polak

ZANIM RUSZYŁ POCIĄG

NA wiosnę 1857 roku mieszkańcy nieco ospałego, prowincjonalnego miasta, jakim był wówczas Lublin, poruszyła wieść o projektowanej budowie linii kolejowej, łączącej Warszawę z Lwowem, a może nawet i Odessą, której trasa nie omijałaby miasta nad Bystrycą. Pozorów prawdopodobieństwa tej wiadomości dodawał fakt, że w okolicy pojawił się inżynier z Wiednia, który miał jakoby przeprowadzać w terenie wizję lokalną.

Chcących budować kolej nie brakowało, gdyż było to wyjątkowo intratne przedsięwzięcie, żaden z konkurentów ubiegających się o koncesję nie spełniał jednak jednoczesnego warunku posiadania odpowiedniej wielkości kapitału i wpływowych znajomości w Petersburgu, szczególnie w ministerstwach Wojny i Finansów.

Realna szansa na połączenie kolejowe Lublina z Warszawą zarysowała się dopiero w 1862 roku, gdy o budowę linii łączącej Warszawę z okolicami nadbużańskimi w rejonie Hrubieszowa rozpoczęły starania takie poważne firmy bankierskie, jak Leopold Kronenberg, Samuel Antoni Fraenkel, Juliusz Wertheim i Jan Gottlieb Bloch. Powołany został Komitet Założycieli Kolei Żelaznej z Warszawy do Bugu, którego przedstawicielem w Lublinie został cieszący się znacznym autorytetem, emerytowany już wówczas inżynier gubernialny Feliks Łódzia-Bieczyński.

Rozpatrywane były trzy alternatywne kierunki linii między Warszawą a Lublinem: pierwszy pobrzeżem Wisły przez Karczew, Osiek, Steżycę, caraką twierdzę Iwangorod (Dęblin), drugi przez Mińsk, Siennicę, Paryszów, Zelechów, Baranów, trzeci przez Mińsk, Siedlce, Łuków, Radzyń, Lubartów, a od Lublina przez Krasnystaw, Hrubieszów do Uściług.

Najwięcej szans na realizację miały dwa ostatnie kierunki, w których projektowana linia kolejowa podchodziła pod Lublin od strony północnej, przebiegając głęboką dolinę Dyski (Ciemiegi) nasypem dwunastometrowej wysokości, a następnie przecinając grunty prywatne i należące do miasta (fol-

wark Ponikwoda oddany w wieczystą dzierżawę), przechodziła pięćdziesięciometrowym mostem na prawy brzeg Bystrzycy, skąd przez grunty prywatne dóbr Tatarsy kierowała się na Krępiec, Wierchowiska i Piaski Luterskie.

Miejsce na stację kolejową z dworcem dla podróżnych wybrane zostało pomiędzy traktem lubartowskim za cmentarzem parafii św. Mikołaja i cmentarzem żydowskim, na terenie posiadłości należących częściowo do Szpi-

zości członków Rady tak przebieg linii kolejowej bardzo odpowiadał. Trudno się temu dziwić — na samą wieść o budowie kolei przez grunty folwarku Tatarsy oceniono, że jego wartość podwoiła się, a mieszkańcy i właściciele (nawet ci potencjalni) parcel przy ulicy Lubartowskiej zacierali ręce z myślą o ruchu, jaki tam będzie panował i nowych, nieograniczonych wprost możliwościach geszeftu.

Tak więc, mimo zdecydowanie nega-



Tak wyglądał dworzec kolejowy w Lublinie na początku XX wieku.

talną Sw. Ducha i Katedry Lubelskiej.

Pod koniec października 1862 roku Łódzia-Bieczyński poinformował o tych projektach Radę Miejską, proponując jednocześnie w imieniu Komitetu Założycieli Kolei, aby Rada zadeklarowała bezpłatne odstąpienie terenów miejskich pod budowę torów i budynków, oraz zapewniła niezbędne materiały budowlane, jak kamień, glinę, piasek itp.

Rada Miejska wydelegowała ze swego grona trzech przedstawicieli, aby razem z Bieczyńskim przeprowadzili w terenie wizję lokalną. Prawdę mówiąc była to tylko formalność, gdyż więk-

tych opinii swoich delegatów, zebrała w pełnym składzie Rada uznała, że linia kolejowa wytyczona jest w sposób najkorzystniejszy dla miasta, a miejsce wybrane na dworzec jest bardzo dogodnie (a gdyby takowe uznane było nawet za mniej dogodne, to dworzec mógłby być za rogatkami łączącymi się z miastem). Najlepsze miejsce na dworzec byłoby wprowadzić za rogatką warszawską, ale skoro nie może być tam (bo wzrosłby o paręset tysięcy rubli koszt budowy linii, a kolei nie buduje przecież Towarzystwo Dobroczyńców), to tylko za rogatką lubartowską. Zdecydowanie

Wiesław Wojaśiewicz

odrzucono zlokalizowanie kolei za rogatką zamojską, gdyż w rozwoju miasta w tym kierunku przeszkadzałaby Bystrzyca i łąki. W konkluzji decyzji Rady znalazło się również stwierdzenie, że skoro miasto żadnej korzyści mieć nie będzie z kolei żelaznej, dla tego nie ma obowiązku występować z jakimiś kolwiek bądź ofertami, a jakie są obecnie żądane.

Mimo tak jasnego postawienia sprawy, jakieś wątpliwości musiały jednak Radę nurtować, gdyż zwróciła się do Bieczyńskiego, aby jako były wieloletni inżynier gubernialny wydał opinię, jakie korzyści odniosłoby miasto, gdyby dworzec stanął na gruncie miejskim, co zyskałaby Kasa Miejska oddając bezpłatnie teren pod budowę kolei i gdzie należałoby wybudować dworzec.

Bieczyński mimo reprezentowania interesów Założycieli Kolei uważał, że linia kolejowa poprowadzona była niekorzystnie dla miasta. Teren w kierunku projektowanej stacji był nierówny, zajęty przed rogatką lubartowską przez liczne sady i ogrody, nieprzydatny dla rozprzestrzeniania się miasta. Jego zdaniem dworzec kolejowy powinien być zlokalizowany przy trakcie głównym bitym Uściługsko-Galiczyńskim (dziś ul. Armii Czerwonej) na gruncie należącym do Folwarku Miejskiego Bronowic, lecz w tym celu należałoby przeprojektować znaczny odcinek linii. Zaproponował to wprawdzie Komitetowi Założycieli Kolei, lecz, jak pisał w przygotowanym memoriale, „wystudiowanie zaprojektowanej przeze mnie Alternatywy (...) Komitet znajduje nie małe, a to z przyczyn kosztów jakie zostały już poniesione na studia w kierunku 1m i 2m, a bardziej z obawy, że przy spóźnionej porze nie daloby się dokonać studiów w kierunku 3m przez mnie wskazanym.

Było już za późno. Memoriał do Rady Miejskiej zatytułowany „Miasta Lublina przyszłość” miał datę 1 stycznia 1863 roku.

Odpowiedzi redakcji

A. M. Krasnostaw. Popada Pan jednak w sztuczną obrazowość. Tym gorzej, że zdaje się Pan to traktować jako przyrost umiejętności poetyckich. Weźmy np. „Zaprzeczony film w koła autobusu” opowiada o mostach głuchym warkotem. A to tylko tyle, że jedzie autobus. Obawiam się, że skłonność do kiepskich wzorców utraćmy Pan z powstaniem poetyckiej samowiedzy.

A. J. K. Warszawa. Owszem — ciekawe, owszem — jest problem. Ale dziwne rzeczy pomyślanie. Bo oprócz tego, że trzyma Pan czytelnika przezyciami bohatera, cała scenaria jest martwa, „literacko” zmyślona. Na przykład ta dziewczyna, z powodu której bohater się szamocze, to kuka. Te „ozwijające” narracje wkręty to mizernie się. Nie umie Pan „ubrać” treści. Ale ona jest i z pewnością będzie Pan pisał, niezależnie od tego, że literackie pisma na razie nie przyjął. My również. Powtarzam jednak, że nie należy pióra odkładać. Najważni z wiekiem odpłyną, zostanie to łatwe „coś”, co legitymuje pisarza.

T. B. Lublin. Jest dużo pomysłowości w tym bawieniu się słowami. Dużo świeżości. Ale — gdzieś tak od połowy utworu opada. Zeby Pani (pięć odczytuję tylko z charakteru pisma, otrzymałem kryptonim) utrzymała go w całości na pierwszych sekwencjach tego krótkiego, ale interesującego tekstu z ciekawością czekam na następną przysyłkę.

W. G. Częstochowa. Niestety, nie odbieram tego poetycko. Suche konstatacje, nie ożywione ruchem wyobraźni. Nie wykluczone, że za wcześnie zaczął Pan pisać.

O. H. Ostrołęka. Zdarza się, że młody autor próbuje różnych form i w żadnej nie osiąga pomyślnych rezultatów, a jeden nieoczekiwany i jakby na marginesie głównego zainteresowania powstały tekst okazuje się udany. Pan na ten tekst jeszcze nie natrafił. Proponowałbym literacki rachunek sumienia w celu znalezienia w sobie tej najlepszej siły. Ona gdzieś jest, to się czuje, ale w razie sytuacji jest taka, że pańskich tekstów ani całkowicie zdezawuować ani wydrukować nie możemy.

S. R. Busko. Nie warto zanadto problematyzować. Liczy się realizacja. Cóż przyjdzie z tego, że rozegra Pan w sobie dramaty poglądów, postaw, idei, jeśli nie znajdzie się tego wyraz zewnętrzny w postaci maszynopisu. Nieproduktywny hamletyzm. Chyba że osobiście cenil Pan sobie te stany wewnętrznej rozterki, obfitujące w ciekawe intelektualnie konstatacje.

A. P. Hrubieszów. Nie doradzam. Bardzo to zwodnicza droga — pisanie wierszy. Jeśli ma ono doprowadzić do powstania życiowego w postaci np. engagement do kabaretu, czy do szkoły filmowej. Poezja to raczej droga wyboista i uciążliwa. Pełno na niej rozczarowań. Spróbuj Pan, nie wyjdzie, później nie żechce Pan spojrzeć na wiersz wydrukowany w książce czy czasopiśmie. Jaki rezultat? Zyska Pan rozczarowanie, poezja straci czytelnika. Lepiej nie zaczynać. Albo zacząć, ale traktować poezję dla siebie samej, a już na estradzie niech pokazuje się kto inny.

R. K. Lublin. Ma Pan rację. Zupełnie nie rozumiem po co się zabierać do wiersza, jeśli to, co się ma do powiedzenia, wyzeruje się w pierwszym lepszym „dzień dobry”. Co ja kresztą mówię. Nawet najzwyklejsza rozmowa nie porusza tych treści, tak są banalne. Odmawiać sobie pojścia do kina, spaceru, partyki brydża po to, by nieporadnym słowem stwierdzić, że wiatr jeśli dmie to niekiedy świstuje, a listeczki szeleszczą? Niektórzy umiejętność pisania rozumieją w sensie najbardziej rudymantarnym: jako znajomość alfabetu. Jeśli potrafią napisać słowo „wiosna” i słowo „radosna” — to już się uznali za twórców. Już w ruch idzie papier, koperta i na niej sadzi się adres najbliższej redakcji. Pan ma rację, tym dobrać nie możemy. Nie sposób równieć radzić prawdziwym poetom. Dlatego adres tej rubryki obejmuje cały stopień pośredni. I też nie w tym znaczeniu, by zawierała ona zbawienne rady. Zawiera propozycje prostowania błędów.

D. S. Inowrocław. Jeśli miał wyrazić dodatnią opinię o Pana literackiej dyspozycji, to nie na podstawie załączonych utworów, ale listu. Taki wyndek już zresztą miał kiedyś miejsce: Wilhelm Mach został przyjęty do Związku Literatów na podstawie podania. Co do Pana — tłumaczę sobie w ten sposób że dobrze Pan sobie radzi w obliczu konkretnej sprawy, natomiast tam, gdzie trzeba doprowadzić do pewnych uogólnień, do pewnych typowości osób i sytuacji, jednym słowem rozegrać sprawę w kategoriach fikcji literackiej — pióro zawodzi. Nie potrafił się Pan zidentyfikować z opisywanym bohaterem. „Wejść w ich skórę”. Przynajmniej jednak, że to z czasem przyjdzie, bo dająca się już teraz zauważyć — wnikliwość psychologiczna jaką wyraz znaleźć musi.

Z. G. Lublin. Owszem, da się wyczuć w tym postawie poetycką, ale realizacja jest dość nieprecyzyjna. Jakby to były notatki do wiersza, nie sam wiersz. Postrzegając tego ledwego kontaktu słownego, który zawrze materiał doznania — tylko tak ogólnie mogę określić swoją propozycję co do pańskich przysyłanych doczyn.

J. M. Plechowice B. M. Lublin. Paweł K., Ludwik P., E. Z. Jelenia Góra, S. Z. Warszawa, J. S. Sosnowiec, J. D. Warszawa, R. G. Łódź, H. Z. J. Deblin, S. R. Koniń, K. H. Warszawa, M. K. B. Rydzewicz, J. T. K. Lublin, J. C. Hilgoraj — nie skrywamy

Szyfrogram literacki (nr 21)

Pe odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przzenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment znanej powieści. Pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą pierwszą literę imienia i nazwisko autorki oraz tytuł powieści, z której pochodzą cytowany tekst. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania. Wyrazy pomocnicze:

- 22, 115, 15, 54, 7 — nieporządek, bałagan,
64, 88, 1, 14, 38, 37 — narzędzie krojejące,
2, 44, 38, 52, 141, 191, 81 — sprzęt nieodzowny jakiejś postaci,
38, 96, 129, 22, 71, 123 — miasto pięknych pomników,
80, 11, 137, 37, 1, 19 — w wannie,
94, 9, 130, 26, 80, 37, 130 — odległość między czymś,
28, 109, 31, 8, 68 — pies myśliwski,
87, 85, 26, 72, 36, 106 — rozstrzyga spory,
53, 47, 104, 89, 98, 149, 125 — oszust, kombinator,
38, 78, 43, 22, 177, 96 — niedokrwistość,
46, 142, 121, 2, 115 — góralskie skrzypce,
19, 66, 145, 59, 45, 79, 31 — egzemplarz flory,
21, 49, 4, 80, 94, 28, 99 — poczucie godności osobistej,
74, 65, 146, 144, 95, 117, 63 — stała miazma Rzeczypospolita szlachecka,
5, 88, 108, 84, 122 — przyprawa kuchenna,
13, 73, 97, 92, 83, 102, 110, 34, 99, 42, 87 — stan kultury społeczeństwa,
28, 144, 77, 91, 33, 62, 122 — sanatorium pod Włodawą,
101, 128, 81, 138, 131, 107, 142 — pszczoła, pszczenica i inne,
146, 16, 102, 123, 118, 195, 41 — aparat porządku publicznego,
140, 39, 135, 69 — wynik dodawania,
116, 75, 119, 134 — odznaczona Krzyżem

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	
27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	
40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51		
52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63		
64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75		
76	77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87		
88	89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99	100	
101	102	103	104	105	106	107	108	109	110	111	112	113	
114	115	116	117	118	119	120	121	122	123	124	125	126	
	127	128	129	130	131	132	133	134	135	136	137	138	139
140	141	142	143	144	145	146	147	148	149	150	151		

Grunwaldu wieś pod Ostrowem,
127, 128, 97, 70, 76 — głupiec, gmoń,
126, 124, 160, 143 — organ słuchu,
61, 82, 92, 35, 50 — półfabrykat przetworstwa owocowego,
85, 141, 48, 129, 100 — na piaty.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 30 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozdajemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 19 był fragment Wielkiej Improwizacji z III części „Dziadów” Adama Mickiewicza;

„Teraz duszą Jan w moją ojczyznę wcielony!”
Ciałem poknąłem jej duszę,
Ja i ojczyzna to jedno,
Nazywam się Milijon — bo za miliony
Kocham i cierpię katusze”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego nr 19 nagrody w postaci czterech bonów książkowych po 40 zł każdy, wylosowali: Irena Sasadeusz, 22-680 Tomaszów Lub., i Maja 91: Andrzej Wosik, 89-300 Gostynin, skr. poczt. 53: Ewa Danisiek, Lebork — 84-350, Al. Wolności 34 m. 2: Bohdan Bieńkowski, 28-325 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 11 m. 1.

listy do kamery

„GARMONDEM” O KLUBIE

W 15 numerze „Kamery” ukazała się notatka p. „Garmondem” krytykująca ograniczenie dni i godzin otwarcia czytelnicy Klubu MPlK w Lublinie oraz brak imprez Studium Dramaturgii Współczesnej w okresie letnim.

Ograniczenie czasu pracy czytelnicy w okresie letnim wynika z analizy potrzeb bywalców Klubu. Obserwujemy w tym czasie zjawisko znacznego zmniejszenia się frekwencji. W dniu powszednim przed godz. 18 zazwyczaj korzysta z czytelnicy zaledwie kilka osób. Studium Dramaturgii Współczesnej nie może działać w okresie urlopu teatru.

Zastępca dyrektora PUPiK
RSW „Prasa—Książka—Ruch”
w Lublinie
mgr Z. Frąc

KOGUT NA WIEŻY

Wokół staromiejskiej Wieży Trynitarskiej w Lublinie postanowiono rusztowania, można zatem wnioskować, że szykuje się remont tego wielkiego i charakterystycznego dla panoramy miasta obiektu. W związku z tym ośmielam się wskazać na celowość ponownej instalacji na szczytcie tej wieży metalowego koguta. Poprzedni został zdjęty przez strażaków (?), albowiem uszkodziła go wiatka burza, która kilka miesięcy temu szalała nad Lublinem. Element ten jest nieodzowny w tym właśnie miejscu ze względu na wymogi kompozycji przestrzenno-plastycznej. Proszę mi wskazać, to nie jest wcale drobna sprawa, jakieś resentmenty starego lublinianina, który chce chronić uszytko, co stanowiło sceneryjną jego młodości. Nawet znajomi,

kilku od czasu do czasu odwiedzają mnie w Lublinie, a mieszkają gdzie indziej, zwracając uwagę, że czegoś brak im na wieży.

Julian Żebrowski
Lublin

„IZBY PAMIĘCI I CO DALEJ?”

W związku z artykułem J. Dostatnego „Izby pamięci i co dalej?”, który ukazał się w 19 numerze „Kamery”, pragnę stwierdzić, że niejednokrotnie już, podczas wakacyjnych podróży po kraju, zastałem zamknięte na głucho owe izby pamięci. Na drzwiach wisiały kartki informujące, że w okresie letnim izba jest zamknięta. A przecież jest to najlepszy okres dla działania tych placówek, działania, które ma na celu korzyść społeczną. Niejednokrotnie w izbach zgromadzono bardzo ciekawe ekspozycje sztuki ludowej, czy też dokumenty o znaczeniu ponadregionalnym, które każdy turysta z prawdziwego zdarzenia chętnie obejrzałby.

Proponuję, aby władze kulturalne bliżej spojrzały na działalność izb pamiętek, albowiem placówki te niedomagają na obszarze niemal całego kraju. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie w czasie te-

gorocznej lipcowej podróży samochodowej przez kilka województw Polski wschodniej i środkowej.

Antoni Kupis
Poznań

„I WY SOBIE I MY SOBIE”

W 19 numerze „Kamery” T. Jasiński poruszył odwieczny problem dezintegracji środowisk twórczych Lublina. Plastyki mającej się (w biegu) z literatami, aktorzy z historykami sztuki, muzycy z... nie wiadomo już kim. Oczywiście tak jest. Zupełnie jednak nie trafia mi do przekonania uzdrawiająca propozycja spotkań prasowych „albo nawet Zarządów” owych stowarzyszeń. Takie garden party nie nie da. Uzdrawianie sytuacji radiłabym zacząć od środka poszczególnych związków twórczych. Tam dopiero panuje dezintegracja! Niestety, na jej zwalczanie recepty nie znajduję. Przynajmniej tylko, że zjawisko posiada przyczyny bardzo złożone. Niemniej przynajmniej dla uspokojenia własnego sumienia.

Krystyna Adamska
Lublin



Rys. W. Fuglewicz

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechazy-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa—Książka—Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wroclnia 23, 80-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2279. 3.V.75.

Numer lamaty: Gabriela Łapaj i Alicja Kolek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 26480/2023

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

Czas się nie liczy

W POPRZEDNIM numerze „Kamery” mój redakcyjny kolega, Tadeusz Jasiński, zajął się komunikacją miejską w Lublinie („Na gamie i hamulcach”). Temat to modny, podjął go również „Polityka” w nieco szerszym aspekcie.

Jak wynika z materiałów, zebranych przez autora, w ciągu miesiąca ubywa nam przeciętnie sześć autobusów, a nie przybywa ani jeden. Na poprawę też się nie zanosi, bo w przyszłym roku wszystkie miasta Lubelszczyzny (i to w starych granicach jednego województwa) otrzymają za ledwie 50 samochodów. Ponieważ i Chelm i Zamość i Biła mają swoje potrzeby (i swoje zaniedbania) można i góry przewidzieć, że — uwzględniając przewidywane kasacje — tabor MPK skurczy się jeszcze bardziej. W konsekwencji — jazda do pracy i z pracy do domu się wydłuży, gdyż zwiększy się czas oczekiwania na przystankach. Już teraz w godzinach rannego i popołudniowego szczytu rozgrywa się na nich dantejskie sceny. W dodatku ktoś wpadł na pomysł, aby pozwolić dokładne (co do minuty!) rozkłady jazdy. Jeśli autobus kursuje co pół godziny, rozkład taki jest na pewno potrzebny, bo daje jako taką orientację, kiedy jednak autobus ma się zja-

wieć w odstępach kilkuminutowych (jak na przykład na trasie „dziewiątki”) rozkład jazdy może doprowadzić do szalu. Długo, długo nie ma nic, a potem nadchodzi dwa, trzy autobusy równocześnie. Takie trzy „dziewiątki” zjechały np. w stadzie 7 bm, o godz. 16.35 na końcowy przystanek przy ul. Monte Cassino...

Znamy to dobrze. Oczywiście można twierdzić, że nasze ulice są ciasne, że tworzą się zatory, że były małe krakusa gotowa jest doprowadzić do długotrwałej przerwy w ruchu. Chwilami zastanawiam się, czy rzeczywiście istnieje potrzeba, aby każda „dziewiątka” łączyla LSM z FSC? Czy nie byłoby lepiej, aby w określonych godzinach rozbić „dziewiątki” na dwie linie? „Dziewiątka A” kursowałaby np. od FSC do Placu Wolności, a „dziewiątka B” od Placu Wolności na LSM. Wystarczy dokonać małego rekonesansu, by przekonać się, że właśnie na Placu Wolności zmienia się większość pasażerów (nie mówiąc o godzinach szczytu). Autobus jeżdzący z LSM do Placu Wolności mógłby z pewnością zrobić więcej kursów. Więcej, gdyż na tej trasie ruch jest zwykle mniejszy niż na ul. Buczka czy ul. Łęczyńskie. A sytuacja jeszcze bardziej się polepszy i chwilą zaokrąglenia wjazdu z ul. Narutowicza w Al. PKWN.

Rzecz zrozumiała, że znajdują się i przeciwnicy tego typu zmian. Osobiście sądzę jednak, że mamy za wiele linii, które łączą między sobą odległe dzielnice miasta w stosunku do tych linii, które łączą odległe dzielnice z centrum. A ponieważ autobus ciągle jest mało, trzeba szukać możliwości maksymalnego zaspokolenia potrzeb. Dobrze, że MPK wprowadza mikrobusy, ale w ślad za tym mogłaby się pokusić, aby dokładniej poinformować pasażerów, jaką konkretnie trasą mają one jeździć. „Kurier” podał np., że trasa będzie przebiegać od LSM do dworca kolejowe-

go. Minęły esasy, gdy LSM rościła się na niewielkiej przestrzeni. Nie mam zału do „Kuriera”, bo przecież samemu przedsiębiorstwu powinno zależać, aby mikrobusy miały największą liczbę pasażerów. Od czego są płatne ogłoszenia w prasie?

Pewnym uzupełnieniem komunikacji miejskiej z pewnością są taksówki. Nie znam konkretnych liczb, ale wydaje mi się, że liczba taksówek ostatnio maleje. Taksówkarzy nikt zbytnio w Lublinie nie rozpieszcza, a czasami chciałoby się wziąć tych ludzi w obronę. Kiedy do taksówki wsiadzie na przystanku czwórka przypadkowo poznanych osób i jedna z tych osób przekształca się w konduktora, rzecz jest tylko formalnie w porządku. Opowiadano mi o wypadku, kiedy taki przypadkowy konduktor pobral od współtowarzyszy podróży tyle, że nie tylko przyjechał na miejsce za darmo, ale jeszcze zarobił! Są kraje, w których przy większej liczbie pasażerów taksówkarz ma prawo włączyć drugi licznik. W RFN przy przewożeniu walczy w bagażniku automatycznie wyskakuje na liczniku dopłata w wysokości jednej marki. A nasz taksówkarz woźą wszystko. Wkładają i wyjmują bagaże, a za to nie otrzymują ani grosza. I jeszcze solidnie łapią ich w codziennej prasie.

Dlatego nie dziwię się zbytnio, jeśli przy dworcu kolejowym stoi tasienkowa kolejka, a taksówki zabierają po jednej osobie, chociaż zgromadziłoby się z pewnością czterech pasażerów jadących w tym samym kierunku. Ale u nas czas się nie liczy, a ten pasażer, który wreszcie dotrze do taksówki i zajmie w niej miejsce, czuje się jak udziałowy książę. Za głupie 5 złotych i groszy 50.

MAJ

Noty i notki

„Kamery” w numerze z 5 października, a „Trybuna Ludu” z dnia 9 października stwierdziły zgodnie, że obecnie naszą najcenniejszą wartością staje się czas. Ale te stwierdzenia jakos nie docierają do kierownictwa urzędu pocztowego nr 1 w Lublinie, podobno najbarziej nowoczesnego w kraju. W dziale paczek czynne są dwa okienka; w jednym nadaje się paczki krajowe, w drugim zagraniczne. Chyba jasne, że tych pierwszych nadaje się kilkanaście, jeżeli nie kilkadziesiąt razy więcej. Więc przed pierwszym okienkiem ciągną się kolejki, w drugim — pracownica nudzi się potwornie. Ale jedna druga — może nie może, jak zgodnie oświadczyły. No i przed jednym okienkiem tracą czas klienci, za drugim — pracownica.

Wiele czasu i nerwów stracą także ludzie, którzy uwierzą w treść wielkiej reklamy, umieszczonej na skrzyżowaniu ulicy Wojciechowskiej i Alei Krasnickiej w Lublinie. Głosi ona, że publika stacja obsługi samochodów wykonuje antykorozyjne zabezpieczanie podwozi. Gdy zachęcony klient odstos swoje w kolejkę, dowie się, że owa stacja od dawna takich usług nie świadczy.

Rzadko — ale zdarza się, że autor(ka) na jakimś szczególnie atrakcyjnym temacie napisze dwa artykuły, różne, i zamieści je w dwóch pismach. Tak zrobiła red. Anna Bocian, spisując swoje doświadczenia z funkcji salowej w szpitalu, jakich podjęła się dla celów samokształceniowo-publicystycznych. Przed dwoma miesiącami było to w „Sztandarze Ludu”, obecnie w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 4). Istotna różnica pomiędzy tymi dwoma tekstami polega na tym, że w pierwszym pełno było trywialnych zaczerpniętych wprost z życia, natomiast w drugim tylko jedno. Czyżby to miało być dowodem różnicy w ocenie poziomu intelektualnego czytelników, poziomie widzialnym raz z miasta wojewódzkiego, a raz ze stolicy?

Przynajmniej się do pewnych rzeczy bywa czasem kłopotliwie. Przekonał się o tym Włodzisław Sokorski, autor wydanych niedawno „Notek”. W gdańskim tygodniku „Czas” (nr 37) Andrzej Włodys napisał: „Nie wiem, jakie obyczaje istniały przed wojną w Łomży, ale gdzie indziej mężczyzna i dziewczyna wzięli sobie ślub, a gdzie do PPS-Lewicy, jeżeli zdołał już namówić kobietę do pewnych rzeczy, to nie podawał później tego do druku wraz ze szczegółami personalnymi i sytuacyjnymi, ponieważ było to sprzeczne z zasadami gry. Sokorski natomiast podaje. Czynniki to w ramach ogólnej szczerości”. Osobiście mam dwa zastrzeżenia: 1) dyskrekcja w sprawach damsko-męskich obowiązywała nie tylko ludzi należących do PPS-Lewicy, bo jedno z drugim nie ma nie wspólnego, 2) szczerłość nie polega na ujawnianiu spraw intymnych.

Na dużej szczerości — w innej dziedzinie — zdobył się prof. dr Adam Sarapata, kierownik Zakładu Badań Społecznych Przemysłu Maszynowego. Napisał on w „Kult-sach” (nr 4): „Z badań wynika na przykład, że kadra kierownicza przypisuje swoim dyrektorom następujące grzechy: nieznanomość zasad organizacji, niesamodzielność, tchórzliwość, obawę przed rozsądnym ryzykiem, brak cywilnej odwagi, małe ambicje zawodowe. Obok tych grzechów ujawniono i inne: dyrektorzy bywają niesprawiedliwi, podejrzliwi, nie ufający ludziom, nieuczynni, nie szanujący otoczenia, nieprawdomówni, nieoilejni, nie znający się na ludziach, ponuraki nie mający poczucia humoru”. Myślę, że pan profesor nieśmiało ograniczył się do przemysłu maszynowego.

Już niejednokrotnie pisałem o przedziwnych sformułowaniach w ogłoszeniach prasowych. Oto nowy przykład. Lubelska PKS ogłasza „stałą giełdę — wyprzedat części samochodowych nadmiernych i zbędnych”. Mnie się wydawało, że jeżeli w magazynie PKS czegoś jest za dużo, to znaczy że zapas jest nadmierny — a jeżeli zapas jest nadmierny, to znaczy, że coś tam jest zbędne. Tymczasem nie, bo części nadmiernych nie mogą kupić osoby prywatne ani szkoły i warsztaty szkolne, a tylko zbędne.

JOD

minuta myślenia

Czkawka

KIEDY spotykam podchmieleone grupki kochanej młodzieży ze społecznego marginesu, mam przyjemność zetknąć się z całym repertuarem polskich obscenów ze szczególnym uwzględnieniem organów płciowych i czynności fizjologicznych. Używane są tak częstotliwie, że żadną miarą nie udaje mi się poza nimi znaleźć jakiegokolwiek treści. Z takim też przejęciem, jakby młody człowiek został olśniony dokonaniem przez siebie odkryciem, że istnieje wyraz „d” itd. oraz komunikował to spragnionym filologicznej wiedzy kolegom.

Ale darujmy ulicznym językoznancom, skoro to samo spotykamy w tekstach współczesnej prozy i poezji. Nie wiem, gdzie ustaliło się przekonanie, że jeśli utwór nie zostanie opatrzone choćby jednym „mocnym słowkiem”, na nic cale literackie przedsięwzięcie. Ba, nie do rzadkości należy, że imię autora takich dzieł to Danuta, Halina albo Irena. Dziwne, że jeszcze nie pojawiła się rozprawa p.t. „Funktor „g” we współczesnej literaturze. Stylistyka i ekspresja”.

Nie chciałbym być wciągnięty w poczet higienistów języka, którzy nawet „odwal się” chętnie zmieniliby

na „bądź laskaw zażyć przechadzki”, ale nie wydaje mi się, by tego rodzaju powszechny urzus zasługiwał na aprobatę. Już nawet nie dla ochrony wrażliwych uszu. Przez to, że nie zawiera nawet autorskiej oryginalności. Przedtem w poezji zefiry, ptaszka i ruczaje, dzisiaj te rzeczy i to cała różnica. Tak sama stylistyczna sztampa. Czy poezjujący (dawniej się mówiło: poetyzujący) młodzieńiec nie wie, że żadna to odwaga podglądawie sobie w słownictwie? Ostatecznie kiedy niedgisyjszy konflikt Przyboś — turpizm zakończył się bynajmniej nie porażką tego drugiego, nie ma powodu w turpistycznej praktyce (ciąg nęcej się tak długo, że aż zaczyna być nudną) widzieć tytuł do sławy. Całą furą tych słówek i zwrotów ze śmietnika mowy nie zaskarżymy sobie „rangi” poetes mauditis, o którą tak niektórym młodym chodzi.

Co proszę? Ach, „prawda życia”, „niezafalszowany obraz”, „precz z pruderią”. I w imię tych idealów niektórzy z piszących postępują tak jakby dopiero im się udało stwierdzić prawidłowości biologiczne ludzkiego organizmu, rozwiać mit o bocianie, w którego dotychczas wierzyła cała ludzkość. Psa kość, pokatcie mi drugi okres literatury, w którym z podobnym uporem jak rzep psiego ogona trzymałaby się praktyki pisarskiej mania powtarzania paru słówek. Nawet naga dusza Przybyszewskiego schodzi z ringu zawstydzona. Nie nokaut, ale wysoka przegrana na punkty.

Gdybyż, ach gdybyż było to uzasadnione jakimś zamiarem stylistycznym, jakimś potrzebą cytatu z „tywej materii języka”. Tymczasem mania działa na tej zasadzie, jak łamanie wiersu po słówku „i”, po słówku „aby”, czy po słówku „lecz”. Chodzi o ten efekt uderzeniowy. Jeśli utwór nie ma sily oddziaływać wa-

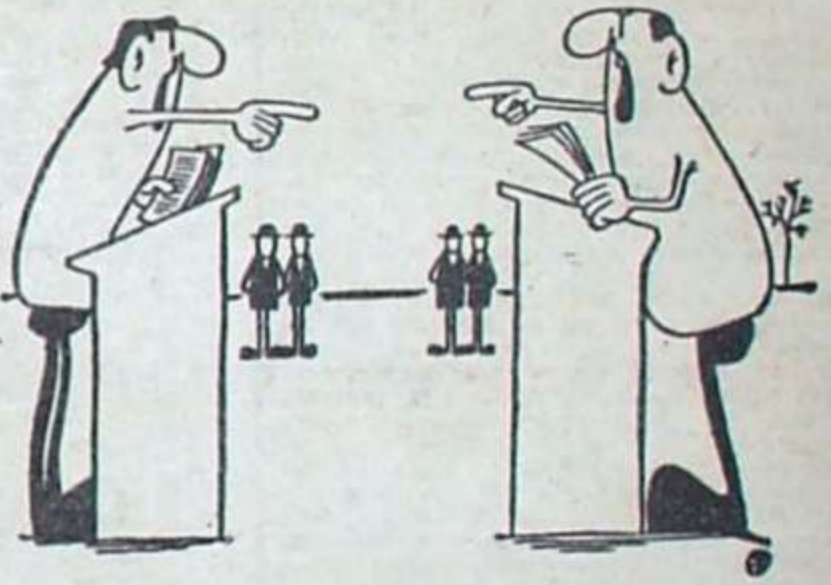
lorami wyobraźni, niech działa szokiem. Ten jest in spe niezawodny. „Patrzcie państwo, do jakich światopoglądowych głębin dokopał się autor, skoro za nie mu już mialkie dobiehanie detalicznych słówek. Od razu ciężar gatunkowy”.

Można by pominąć całą estetyczną stronę zagadnienia. Ostatecznie w rytm współczesnego wiersza nie tworzą kółka dzieci w przedszkolu. Ale przecież poezja ma dawać obraz świata poety. Czy dobrze się żyje w świecie, w którym tyle się narodziło stworzeń z beczki Pandory — i to przy czynnym udziale samego autora? Odpowiedź zabrzmiała, że co poradzić, takie jest życie. Ze nawet wyraża się w tym postawa krytycyzmu w stosunku do rzeczywistości, której zle strony bez owijania w bawełnę należy piętnować. Niby słuszne, ale jest to możliwe tylko przy dwóch założeniach; primo — widzimy samą szpetotę, secundo — współczesna poezja jest tylko publicystyczna.

A właściwie to nawet nie tak „uczenie” należy rzecz widzieć. Ot, poezja dostala sobie po prostu czkawki na tych obscenach, a ponieważ jest to zjawisko „oryginalne”, więc „oryginalność” ciągnie do urwania kocięgo ogona. Jeśli piosenkarka nie ma głosu, to niech przynajmniej ma chrypkę.

Daleki jestem od złudzenia, że tych kilka uwag jest w stanie spowodować zmianę frontu wobec tak zwanych ilustamliterowych wyrazów. Mnie osobiście nic nie szkodzi. Ze Euterpe dostala czkawki i nie chce wzięć szluzowego cukierka? I tak niezbadana jest dusza kobiety.

Ijon



Rys. W. Fuglewicz

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

(18)

W karczmie Pol Kluką z trudem znaleźli wolne miejsce. Wiktor podał Mirce kartę pozwu. Wybór dan był imponujący.

— Wie pan — powiedziała — jestem zupełnie bezradna... Muszę pana prosić o radę. Widzę tu jakieś polewki, coś to takiego?

— Polewka myśliwska to wino na gorąco, ale na przykład polewka smolczyńska jest czymś w rodzaju kapuśniaku.

— Bardzo łatwo tu się pomylić!

Kelnierka w ludowym stroju nie dała im zbyt długo na siebie czekać. Wiktor zamówił dwie polewki kminkowe i dwie porcje kiełbasek kaszubskich. Pachnące zupy wkrótce zjawiły się na stole.

— No, no! — Mirka nie usiłowała ukryć zachwytu. — Sława tej karczmy wcale nie jest przesadna.

— Nawet Waldorff ją chwalił. Zresztą nie on jeden...

— Czyli tradycja polskiej kuchni nie ginie. Niestety, w moim mieście różnie bywa pod tym względem. Ciągłe brakuje nam małych, dobrych restauracji. A piwo też mamy okropne.

— Mimo że styniec z uprawy chmielu...

— A zna pan opowieść o szwecu, który chodzi bez butów?

— Uważa też często używa tego porównania. Pani bardzo przypomina mi swoją siostrę.

— Długo ją pan zna?

— Dostyc. — Wiktor jakby zmieszał się nieco. Nie uszło to uwadze Mirki.

— Nie ma ona tutaj latwego żywota...

— Ale też i nie może zbyt narzekać. Teraz, kiedy Stupsk stał się stolicą województwa, otworzyły się przed miastem nowe perspektywy.

— I skończył się odwieczny spór z Koszalinem. Szczerze mówiąc, wole Stupsk od Koszalina. Kto wie, czy po skończeniu studiów nie przeniosę się tutaj. Dobrze się czuję w tym mieście.

— Z posadami raczej nie ma u nas kłopotów, ale na mieszkanie czeka się nie krócej niż w miastach wschodniej Polski.

— Czyli już dzisiaj powinnam się zapisać do spółdzielni...

— Jeśli nie ma innego wyjścia...

Wiktor odwoził Mirkę pod dom, w którym mieszkała jej siostra. Mimo jej nalegań nie chciał wstąpić do mieszkania. Jeszcze bardziej ją jednak zdziwiło, gdy Wiktor poprosił ją na pożegnanie:

— Niech pani nie wspomina Urszuli, że byliśmy razem. Pod Kluką. Nie chciałbym, aby były jakieś podejrzenia, a szczerze mówiąc, bardzo bym pragnął, aby to nasze spotkanie nie było spotkaniem ostatnim...

Telegram z tragiczną wiadomością spowodował, że Michał musiał szybko wrócić do Burgarii. Matka Haliny dostała zawału serca i w ciężkim stanie leżała w szpitalu. Poczłkowo Halina chciała sama wyjechać, ale Michał nie zgodził się na to. Chciała tę decyzję z wadziłością, gdyż teraz szczególnie była jej potrzebna opieka męża.

Czynny. Udało im się złapać samolot z Burgas do Warszawy, bo właśnie w ostatniej chwili jakaś rodzina zrezygnowała z biletów. Barbara odprawiała ich na lotnisko i wyglądała na szczerze żartowłą.

— Co ja tu sama zrobię? Tak się do państwa przyzwyczailam...

Dyżurny lekarz w szpitalu nie ukrywał, że stan matki Haliny jest bardzo poważny. Chora znajdowała się na

„erce”, czyli na sali reanimacyjnej. Ujrzał ją tylko z daleka, leżała pod namiotem tlenowym.

— Robimy wszystko, co możemy. Ale organizm jest bardzo zniszczony. To przecież nie pierwszy zawał...

— Tak, już trzeci. Ale mamusia tak się ostatnio szesnowała.

— Nawet bardzo młodych ludzi trafiają dzisiaj zawały. Wczoraj zmarł nam trzydziestoletni pacjent. Tutaj nie ma żadnych reguł. — Brzdąło to jak poczesanie.

Po tygodniu było już po wszystkim. Nawet po pogrzebie. Michał zapożyczyl się nieco: był splukany po Burgarii, a tu koszty wyniosły około 10 tysięcy złotych.

— Co zrobimy z ojcem? — spytała Halina.

— Chciałabyś, aby z nami zamieszkał?

— Sam sobie nie poradzi. Jest bardzo niedołężny.

— Ale u nas jest bardzo ciasno. Trzeba by pomysł o zamianie mieszkania. My mamy trzy pokoje z kuchnią, on ma pokój z kuchnią, można by za to dostać M.S.

— Tak, ale ojciec mieszka w starym budownictwie. Ma tylko wodę bieżącą w kranie. Kto dziś weźmie mieszkanie bez łazienki?

— Ale spróbować można. Dam ogłoszenie do Gazety. Nadeszły kilka ofert.

Facet, który przedstawił się jako inżynier, długo oglądał oba mieszkania, obstakował nawet ściany. Potem rozsiadł się wygodnie na fotelu i zapytał:

— Ile państwo chcą dopłacić do tego interesu? Bo ja przecież daję mieszkanie czteropokojowe w nowym budownictwie, a dostaję tylko trzy pokoje i tę rudere.

— Dostaje pan też luksusowe pokoje, a poza tym pokój z kuchnią na pierwszym piętrze. Przy rozliczeniu i tak pan na tym zyska, a my będziemy musieli dopłacić spółdzielni.

— A kto zapłaci za remont?

— Remont? Nasze mieszkanie jest w bardzo dobrym stanie.

— No, powiedzmy. Ale głównie chodził mi o ten pokój z kuchnią. Tam trzeba włożyć te dziesięć tysięcy.

(Dca.)